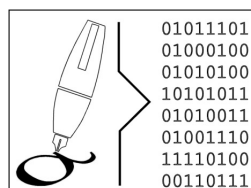


Ryszard Głowacki

Paroksyzm Numer Minus Jeden

1979



Znał to uczucie.

Powoli, bardzo powoli z mroków nieistnienia zaczynała się wyłaniać świadomość. Najpierw jakieś strzępy dawno minionych przeżyć, przebrzmiałych i zapomnianych, jakiś spacer po brzozowym lesie, pierwsza kąpiel w morzu, gdy fala zalała mu usta i poczuł gorzko-słony smak wody, pisk hamulców na ostrym zakręcie drogi w Alpach...

Potem poczuł, że ma ciało — ciężkie, bezwładne ciało, które zupełnie nie było posłuszne szybko budzącemu się mózgowi. Po chwili wiedział już kim jest, ale ani rusz nie mógł dopasować do siebie żadnego sensownego imienia czy nazwiska.

Jedna powieka zaczęła pomału podnosić się i ujrzał jakąś rozmazaną twarz. Wkrótce obraz wyostrzył się i poznał tego człowieka. To był... to był... ktoś z jego załogi! Ale kto?... Oczywiście, że Dan, nawigator!

Próbował uśmiechnąć się do niego, ale nic z tego nie wyszło. Za to Dan poruszył ustami, mówił coś... Jeszcze kilkadziesiąt sekund i powinien usłyszeć go — jeśli dehibernacja przebiega normalnie...

Mózg pracował coraz sprawniej i nagle Cleve zaniepokoił się... Dlaczego budzi mnie Dan, przecież ostatnią roczną wachtę powinni pełnić Broxowie? Co to wszystko ma znaczyć? Wreszcie jak z zaświatów dobiegł go głos Dana:

— Cleve, słyszysz mnie?

— Tak... — wyszeptał z trudem.

— Uważaj, Cleve — cedził słowa Dan — jesteśmy dopiero w połowie drogi do Ziemi. Obudziłem cię, bo zbliża się do nas jakiś sterowany obiekt. Ponieważ w tym rejonie nie ma żadnego naszego statku, dlatego trochę zaniepokoiiliśmy się. Rozumiesz?

— Rozumiem — prawie normalnym głosem rzekł dowódca. — Daj mi zaraz podwójną dawkę Dehibernalu. Tylko dożylnie — dodał.

— Rozkaz, szefie!

Po chwili w polu widzenia pojawiła się towarzyszka wachty Dana, uśmiechnięta jak zwykle Any.

— Cześć Cleve, jak ci się spało?

— Dobrze, tylko krótko. Zaledwie trzy lata.

— O, widzę, że ci humor wraca. Zaraz zrobię ci zastrzyk i będziesz mógł wystartować do życia.

Poczuł ukłucie w rękę, podniósł oczy i ujrzał skupioną twarz dziewczyny całkowicie zajętej wykonywaną czynnością. Podobała mu się, zawsze uśmiechnięta i opiekuńcza, gotowa każdemu pomóc w jego kłopotach. Dokładnie pamiętał to dziwne ukłucie w okolicy serca, gdy w czasie układania programu wacht Dan zgłosił siebie i ją. Głupie uczucie. Przecież oboje ukończyli tę samą szkołę, znają się od dawna...

Kiedys znów złapał się na marzeniach o tym, jakby to dobrze było, gdyby był tylko zwykłym członkiem załogi i jak każdy mógł pełnić dyżury. W jej towarzystwie, oczywiście...

— Już po krzyku — wyrwał go z zamyślenia głos Any. — Tutaj masz butelkę Revitanu. Wypij ją, i jak tylko będziesz mógł, przyjedź do sterowni. Gdyby ci czegoś było potrzeba, wołaj mnie.

— Dziękuję An, za kwadrans będę u was. Po jej wyjściu powoli zaczął poruszać palcami rąk, nóg, by wreszcie z trudem usiąść. Revitan był przygotowany w zasięgu ręki. Wypił go małymi łykami, odczekał parę minut i próbował wstać. Wiedział, że to będzie trudna sprawa, ale nie spodziewał się, że aż tak. Nogi zupełnie odmawiały mu posłuszeństwa. Po trzyletniej bezczynności trudno je było z powrotem zmusić do pracy.

W normalnych warunkach wstawanie dozwolone jest dopiero po dwudziestu czterech godzinach od rozpoczęcia dehibernacji, ale teraz wyjątkowa sytuacja zmuszała go do ominięcia przepisów. Liczył na swój organizm, który go dotychczas nigdy nie zawiodł. Odpoczął chwilę po pierwszej, nieudanej próbie, zebrał wszystkie siły, stanął na chwiejących się nogach, puścił trzymany kurczowo rękami uchwyt, zrobił mały krok do przodu i... nic już nie pamiętał...

Kiedy się ocknął z omdlenia, znów zobaczył nad sobą zatroskaną twarz Any.

— Cleve, coś ty zrobił najlepszego! Nie wolno ci jeszcze było wstawać.

— Przepraszam, An. Jestem stary dureń... Pomóż mi dostać się na fotel.

Z wielkim trudem udało jej się usadowić go z powrotem. Wtedy spokojnie włączył napęd fotela i jak skarcony uczeń powoli pojechał do sterowni. Dziewczyna szła z tyłu i nie spuszczała z niego ani na chwilę oka.

Kiedy wjechał do sterowni czuł się już prawie tak dobrze, jak przed omdleniem. Atmosfera pomieszczenia, które normalnie było jego miejscem pracy spowodowała, że znowu poczuł się dowódcą odpowiedzialnym za losy statku.

— Melduj Dan — rzucił krótko.

— Było to dziesięć godzin temu. Wykrył go radar. Szedł kursem różnym od naszego o jakieś piętnaście stopni, z prędkością większą o pół kilometra na sekundę. Przed momentem największego zbliżenia trajektorii zaczął nagle hamować, zmienił kurs i dosto-

sował prędkość do naszej. Potem zaczął się zbliżać... Wtedy zbudziłem Any i po nardzie postanowiliśmy cię dehibernować. To wszystko.

— Dobrze zrobiliście. W tym sektorze my jesteśmy pierwszą ziemską wyprawą. Gdyby nawet w czasie trwania naszej wysłano jakiś statek, to szedłby w przeciwnym kierunku. On musi pochodzić z innego układu — ... Cleve przerwał na chwilę, gdyż ze zdziwieniem stwierdził, że już jest głodny. — An, jeść! Tylko dużo!

— Znakomicie! Zaraz ci coś zrobię, ale dużo nie dostaniesz.

— Zlituj się, przynajmniej podwójną porcję...

— No dobrze, dobrze. Tylko nie wstawaj.

Po jej wyjściu na chwilę zapanowała cisza, którą przerwał Dan. W jego głosie czuć było zaniepokojenie...

— Cleve, oni zbliżają się coraz bardziej...

— Gdzie są teraz?

Dan nacisnął któryś z guzików i główny ekran zajaśniał łagodnym blaskiem. Całą jego szerokość zajmował zawieszony na tle rojowiska gwiazd Drogi Mlecznej wielki, ciemny kształt. Było coś tak przygniatającego w tym olbrzymie, że wpatrywali się weń jak zahipnotyzowani. W pomieszczeniu słychać było tylko ich przyspieszone oddechy i delikatny szum pracy aparatury.

— Logokom włączony?

— Oczywiście, szefie. Jak tylko to się pokazało.

Cleve podjechał swym fotelem do pulpitu i włączył mikrofon...

— Dowódca do Logokomu. Podaj odległość i wymiary obiektu.

— Odległość dziewięć kilometrów, oś dłuższa osiemset czterdzieści metrów, krótsza dwieście dziewięćdziesiąt — odparł swym charakterystycznym głosem Logokom.

— Toż to prawie planetoida — zdziwił się. — Masz do dyspozycji wszystkie urządzenia pomiarowe statku. Chcę mieć możliwie największą ilość danych o tym obiekcie, ale tylko na bazie informacji emitowanych przez niego. Wyniki melduj na piśmie. Wykonaj.

Rozjarzyły się światła kontrolne setek urządzeń. Gwałtownie wzrósł pobór mocy. Logokom wykonywał polecenie.

Rozsunęły się drzwi wiodące do części gospodarczej i zjawiała się Any niosąc na tacy posiłek — jajko na miękko, mleko, trochę pieczywa. Cleve zmuszał się do powolnego jedzenia, chociaż był w stanie połknąć to wszystko w ciągu kilkadziesiąt sekund. Wiedział jednak, że mogłoby się to dla niego nieprzyjemnie skończyć.

W czasie gdy powoli przeżuwał każdy kęs, ożyła drukarka Logokomu i pierwsze informacje zaczęły spływać na taśmę. A więc jeszcze raz wymiary, odległość, prędkość względna, masa a potem rodzaje emitowanych pól, przybliżony skład chemiczny pancierza... Niewiele tego było, więc rzucił krótko do mikrofonu:

— Wykonaj zdjęcie obiektu w świetle naszych reflektorów laserowych szerokiej wiązki.

Po chwili na bocznym ekranie ukazał się wyraźny obraz napotkanego statku. Była to bryła o kształcie zbliżonym do płaskiej elipsoidy obrotowej. Jej skorodowany uderzeniami tysięcy mikrometeorytów pancierz wskazywał na długi pobyt w kosmosie.

— Wygląda jakby leciał już parę tysięcy lat — rzekł Dan.

— Ty jak zwykle lubisz przesadzać — skarciła go Any. — Z pewnością zawadził o jakiś rój, albo o ogon komety i stąd te wszystkie nadżerki.

W tym momencie obcy statek zniknął z głównego ekranu, którego cała powierzchnia zajaśniała niespotykanym, bladoniebieskim światłem, przerywanym girlandami seledynowych wyładowań. Cała trójka znieruchomiała na swoich miejscach. Działo się coś, czego nie rozumieli. Pierwszy otrząsnął się dowódca...

— Podaj przyczynę zakłóceń — zlecił Logokomowi.

— Pole siłowe — padła natychmiastowa odpowiedź.

— A więc to tak... Niepotrzebnie wychyliliśmy się z tymi laserami. Oni widoczne są bardzo ostrożni.

— Cleve, co my teraz zrobimy? — zapytała Any.

— Cóż, sądząc po wielkości statku i po jego polu siłowym, pasażerowie tego olbrzyma reprezentują znacznie wyżej rozwiniętą technikę od naszej. Musimy się starać nawiązać z nimi kontakt, bo może on nam dać niewyobrażalne korzyści.

— A to pole siłowe?

— Skoro wyhamowali i zbliżyli się do nas, to nie po to aby odgradzać się polem...

— Może zrobili tylko próbę sprawności systemu — rzekł Dan.

Jakby na potwierdzenie jego słów niebieskawe migotania zniknęły z ekranu i całą jego szerokość znów zajmowała soczewkowata bryła obcego statku, który powoli ale wyraźnie zbliżał się do nich.

Cleve odwrócił się od ekranu i napotkał utkwione w niego, pytające spojrzenia. Oboje czekali na jego decyzję.

— Ogłaszam stan alarmowy trzeciego stopnia. Dehibernacja całej załogi — rzucił polecenia mocnym, zdecydowanym głosem.

— A co z profesorem Nakamurą? — zapytała Any.

— On oczywiście nie. Czy są inne pytania?

— Nie ma.

— Wykonywać!

Po ich wyjściu przejrzał taśmę z wynikami pracy Logokomu; ostatni zapis brzmiał: Odległość 7.200 metrów.

Oparł się na wygodnej poduszce fotela i przymknął znużone powieki. Czuł kompletną pustkę w głowie. Nagle ogarnęło go wszechmocne uczucie senności. Chciał

z nim walczyć, podnieść się, ale już było za późno. Zapadł w płytki, nerwowy sen.

Kiedy się obudził, przez dłuższą chwilę nie wiedział gdzie się znajduje. Dopiero stuk drukarki umiejscowił go w przestrzeni. Wraz z tym stukaniem wróciła cała świadomość sytuacji. Pospieszenie wyciągnął rękę i oderwał zwisający kawałek zadrukowanej taśmy — Odległość 3.400, V=0,0 — przeczytał.

...Zatrzymali się... Teraz pewnie zacznie się coś dziać — pomyślał.

Jakby na potwierdzenie jego słów drukarka ożyła. Przerzucił wzrok na ekran i zniechęcony — gigantyczny dysk majestatycznie zmieniał swe położenie w przestrzeni, ustawiając się do nich swą największą powierzchnią. Kiedy już był widoczny jako ogromne koło, ruch jego ustał.

Cleve jak urzeczony wpatrywał się w olbrzymią płaszczyznę. Nie widać było na niej żadnych charakterystycznych punktów, jeśli 'nie liczyć śladów po mikrometeoroidach. Może tylko w samym centrum koła pancierz był jakby trochę jaśniejszy...

Z tyłu rozległ się trzask otwieranych drzwi; wszedł Dan.

— No i co słychać? — zapytał.

— Sam widzisz... Odwrócił się do nas „przodem” i od dobrych paru minut nic się nie dzieje. A co z dehibernacją?

— Wszyscy już zaczynają się wiercić, jeszcze z pół godziny i zaczną odzyskiwać przytomność. Any jest przy nich.

— Dobrze. Jak tylko zaczną gadać do rzeczy, dajcie ich tu wszystkich. Musimy się naradzić.

— Cleve, jak myślisz, co oni teraz zrobią?

— Nie mam pojęcia... Zastanówmy się lepiej, co my mamy zrobić. Gdybyś był na ich miejscu, to co byś uczynił?

— Ja wiem?... Może na początek złożyłbym kurtuazyjną wizytę...

— Zdaje się, że oni to właśnie mają zamiar zrobić. Spójrz!

W środku olbrzymiego kręgu zaczynało się coś dziać. Z jednolitej płaszczyzny wysuwały się powoli cztery jakby słupy, ustawione w rogach kwadratu.

— Dan, powiększenie!

— Tak!

Jeden z monitorów wmontowanych nad pulpitem rozjarzył się momentalnie. Cztery lśniąco błyszczące słupy wystawały z jasnej płaszczyzny. Nagle kwadrat pancierza pomiędzy słupami drgnął i zaczął poruszać się płynnie po prowadnicach. W przeciągu kilkunastu sekund dotarł do końca słupów i zatrzymał się. Wpatrywali się z najwyższym skupieniem w ekran, ale obraz na nim nie ulegał zmianie. Po kilku minutach napięcia, które wyczerpywało jak najcięższa praca, usłyszeli z tyłu głos Any...

— Co tak siedzicie, jak zaczarowani? Nawet nie zauważyliście, kiedy weszłam...

— A, to ty. Jak tam załoga?

— Jeszcze tylko Brox i Sylwia. Reszta już gada do rzeczy. A nad czym wy tak dumacie?

— Sama widzisz. Otwarli włącz i na tym koniec.

— Może czekają na nasz znak?

— Jaki znak?

— Jakikolwiek. Coś w rodzaju: Hallo!

Musieli mieć z pewnością bardzo niewyraźne miny, bo dziewczyna wybuchnęła śmiechem...

— No, Cleve, nadaj im coś!

Dowódca patrzył na nią, tak jakby ją pierwszy raz w życiu oglądał na oczy i zamyślił się. Po chwili włączył kontakt foniczny Logokomu i rzekł:

— Nadaj w kierunku obiektu reflektorem sygnałowym, Morse, następującą depe-
szę — ANY. Filtr zielony. Wykonaj.

— A... N... Y... Filtr zielony — powtórzył głośnik.

— Tak.

Pomknęły w przestrzeń kreski i kropki znaczone rozbłyskami kontrolki. W ich takt środek olbrzymiej tarczy rozbłyskiwał zielonym światłem.

— Weszłaś do historii — zażartował Dan.

— Was to się zawsze kawały trzymają, nawet w takiej chwili!

— Cicho, tam coś się rusza!

Istotnie. Spod uniesionego kwadratu zaczęło się coś wysuwać, jakby części jakiejś aparatury. Nagle mrok wiecznej nocy przeszyły zielone błyski — krótsze i dłuższe...

— A... N... Y... — Obaj mężczyźni wybuchnęli szalonym śmiechem, tylko bohaterka zdarzenia zarumieniła się aż po czubek głowy.

W tym momencie rozległ się za nimi głos Kima, który przyjechał na swoim fotelu...

— I to ma być alarm trzeciego stopnia? Co to za szopki tu urządzenie i ludziom spać nie dajecie! A niech was... — urwał, bo w tym momencie wzrok jego padł na główny ekran. — Co... co to jest?

— Zaraz się wszystkiego dowiesz. Koniec zabawy! An, do roboty, ludzie czekają. Nawigator, sprawdzić wszystkie kanały łączności wewnętrznej i emitery zewnętrzne. Wykonać kontrolę stanu śluz, skafandrów i raketek transportowych. Wyniki meldować.

— Rozkaz!

Po ich wyjściu zwrócił się do nowoprzybyłego...

— Kim, mamy gości...

— Widzę. Cleve, to jest cholerna szansa... Nie zmarnujmy jej.

— Jak się czujesz?

— Jeszcze bardzo niewyraźnie.

— A ja już dość dobrze, tylko w głowie mi trzeszczy... Spójrz! Tam!

Część kręgu nagle zniknęła, jakby ktoś wstawił przegrodę pomiędzy oba statki. W przestrzeni tkwił wielki, świetlisty prostokąt. Cała jego powierzchnia lekko pulsowała, a brzegi były nieco rozmyte. Nagle prostokąt zniknął, ale fragmentu obcego statku przesłoniętego nim poprzednio dalej nie było widać. Zdawało się im, że w tym miejscu znajduje się ogromna, regularna, idealnie czarna wyrwa. Nie trwało to długo, bo wkrótce w samym środku ciemności rozjarzył się wiśniowo małeńki punkt, narastał, zmieniał barwę na czerwoną, różową, białą — by nagle wybuchnąć oślepiającym blaskiem i rozpaść się na niezliczone odłamki. Okruchy te pędziły każdy w swoją stronę, najbliższe łączyły się ze sobą po kilka, kilkanaście i znów w tych grupach błyskało, pękało, rozpadało się, szarzało powoli. Ruch płam stawał się coraz wolniejszy, coraz trudniej dostrzegalny, by wreszcie ustać zupełnie. Rojowisko światła, które w międzyczasie zdążyły już przybrać czerwoną barwę, ułożyło się na kształt wielkiej, świecącej kuli, tkwiącej nieruchomo w czerni prostokąta.

Nagle kula drgnęła — najpierw powoli, prawie niedostrzegalnie wszystkie światła zaczęły powrotną wędrówkę do środka. Ich prędkość z każdą sekundą wzrastała... Wtem, wokół jednej z płam pojawiła się wyraźna, niebieska otoczka, ale nie zmieniło to w niczym przebiegu zjawiska. Wszystkie światła sunęły coraz szybciej ku środkowi. Kula wyraźnie malała, a równocześnie robiła się coraz bardziej czerwona.

Wtem jakiś nowy element wkradł się w ten płonący pęd — pierwsze okruchy dochodzące do pewnego miejsca zniknęły bez śladu. Coraz mniej światła jarzyło się w prostokącie. Jedyne wyróżnione niebieską obwódką płomyk też zmierzał szybko ku nieuchronnemu wygaśnięciu; jeszcze kilka sekund i zniknie wraz z ostatnimi światłami...

Ale nie, tuż przed dostaniem się do granicy czerni ze środka niebieskiego pełgania wyskoczyła zielona iskra i pognała w przeciwną stronę. W ostatniej chwili — bo już wszystkie ogniki zniknęły z pola widzenia i w przestrzeni majaczył znów pusty, czarny prostokąt z samotną, zieloną iskierką zdążającą w kierunku jego krawędzi. Ten okruh światła był jedynym elementem przyciągającym wzrok obserwatorów. Poczuli jakąś dziwną sympatię dla małego uciekiniera, który nie chciał się dać pochłonąć przez wszechwładną czerń i dążył własną drogą.

A droga ta zaczęła się zmieniać. Z początku iskierka pędziła szybko, byle dalej od środka, ale po pewnym czasie zwolniła, potem zatrzymała się na moment i po chwili zaczęła powoli posuwać się w tę stronę, gdzie jeszcze nie tak dawno był środek kuli. Jej ruch był jednak jakby trochę niezdecydowany, bo zwalniała i przyspieszała, kilkakrotnie zmieniała kierunek swej wędrówki.

W tym czasie w środku prostokąta znów pojawił się wiśniowy punkt, rozjarzył się czerwienią, pęczniał, białiał i nagle, jak poprzednio, eksplodował jasnością, rozpadł się na tysiączne kawałki, które pędziły jakby dobrze sobie znaną drogą, łącząc się, rozpadając i błyszcząc.

Gdy poświata wybuchu dotarła do małej, zielonej drobiny wałęsającej się w mroku, ta nagle drgnęła i zaczęła sunąć na spotkanie pędzącym plamom... ale plamy z niebieską obwódką tym razem nie było.

Nagle wszystko zniknęło — czarny prostokąt, świecące plamy i mały, zielony wędrowiec. Cały ekran zajęty był znów przez ogromne cielsko obcego statku. Kwadratowy właz był otwarty, ale nieznanne urządzenia zniknęły.

Obaj mężczyźni oderwali wzrok od ekranu i spojrzeli na siebie...

— Cleve, jak myślisz, co to było?

— Nie wiem, chłopie. Głowa mi pęka z bólu, ale zdaje mi się, że to było dla nas.

— Z pewnością... i dlatego musisz im odpowiedzieć.

— A cóż ja im powiem?

— Cokolwiek.

— Dobrze. Powiem im, że dwa dodać dwa jest cztery. Niech wiedzą, że mają do czynienia ze stworzeniami znającymi wyższą matematykę — zażartował podjeżdżając fotelem pod sekcję sygnalizacyjną pulpitu. Dwa krótkie, czerwone błyski, przerwa, znów dwa krótkie — dłuższa przerwa — a potem cztery szybkie błyski. W ich rytmie kadłub kolosa rozjarzał się i gasł, przytłaczający i nieruchomy w swym straszliwym pędzie ku Słońcu, maleńkiej gwiazdce, ledwo widocznej w mrokach Przestrzeni.

W sterowni zapanowała cisza; Kim zasnął nie wiadomo kiedy, zmęczony nadmiarem wrażeń. Cleve wlepił wzrok w ekran, ale olbrzym milczał, jakby nie zauważył skierowanych doń sygnałów. Już zaczynały go piec ze zmęczenia oczy, gdy nagle w mrok nocy wdarły się jaskrawe błyski, których źródłem był — jak poprzednio — jakiś reflektor w rejonie otwartego włazu w centrum kręgu. Trzy krótkie, przerwa, znów trzy krótkie, dłuższa przerwa, a po niej sześć krótkich. Cleve uśmiechnął się z zadowoleniem — dialog został nawiązany.

Powoli, zachowując najwyższą ostrożność, opuścił nogi na podłogę, mocno uchwycił się pulpitu i wreszcie stanął na nogach. Trzymały go dość pewnie. Chwycił oparcie fotela i zaczął iść pchając go przed sobą. Czuł jak z każdym krokiem wraca mu sprawność nóg; puścił jedną rękę, potem drugą, odepchnął lekko fotel i z ciekawością przyglądał się jak ten odjeżdża pod ścianę... Stał o własnych siłach na środku sterowni, ale był pewny, że tym razem już nie upadnie.

Od razu poczuł się znacznie lepiej, a ból głowy minął nie wiadomo kiedy. Znowu poczuł głód, ale tym razem już sam sobie poradził. Podszedł do podręcznej chłodziarki, w której stale było coś do zjedzenia dla dyżurnego nawigatora i wybrał sobie mały zestaw dietetyczny. Włożył go do podgrzewacza i już po chwili delektował się owsianką na mleku. Normalnie na samo wspomnienie owsianki robiło mu się niedobrze, ale teraz zjadłby nawet stary kalosz, taki był głodny.

Kim niespokojnie poruszył się w swoim fotelu, otworzył oczy i zaczął węszyć jak ogar na polowaniu...

— Co ty jesz?

— Owsiankę na mleku.

— Daj trochę.

— A Revitan już piłeś?

— No pewnie. Inaczej nie przyjeżdżałbym tutaj.

— Zaraz ci dam, tylko skończę swoją porcję. Drzwi do głównego korytarza otworzyły się szeroko i wjechał planetolog, blady jeszcze, ale już w pełni przytomny. Tuż za nim weszła Any, dźwigając tacę z jedzeniem.

— Witam, profesorze! — zawołał Cleve na widok Broxa. — Jak się spało?

— Cześć Cleve, cześć Kim. Wiem już, co się dzieje. Szkoda, że nie będzie Nakamury...

— Profesorze, proszę wreszcie wypić swój Revitan.

— Dobrze An, dobrze. Zaraz wypiję.

W międzyczasie sterownia zaczęła wypełniać się. Ludzie witali się, dyskutowali i jedli wpatrując się w wielki ekran nad pulpitem. Na samym końcu zjawił się Dan, zamknął drzwi i rzekł:

— To już wszyscy, szefie.

— W porządku. Możemy zatem przystąpić do narady. Postaram się przedstawić wam sytuację...

Podczas gdy dowódca referował sprawę, Any uwijała się wśród dehibernowanych, roznosząc jedzenie i napoje. Gdy doszedł do opisu feerii światła pulsujących na tle czarnego prostokąta, rozległ się okrzyk Kima, który cały czas nie spuszczał oczu z ekranu...

— Spójrzcie tam!

Trzyście par oczu zwróciło się we wskazanym kierunku, a tam znów rozpoczęło się barwne widowisko. W przestrzeni między statkami rozgorzała ogromna, zielona obręcz, w niej druga, mniejsza, w tamtej jeszcze mniejsza — zapalały się coraz szybciej, coraz mniejsze, aż utworzył się z nich zielony, pałający stożek, coś w rodzaju świetlistej, zwężającej się studni, na której dnie — wierzchołku znajdował się otwarty właz statku.

Obręcze płynęły w jego stronę, zmniejszając się systematycznie, a na ich miejsce narastały wciąż nowe i nowe. Obserwatorzy mieli wrażenie, że są jakby wciągani w głębię świetlistej studni. Było to bardzo sugestywne widowisko. Wtem kręgi zniknęły jak zdmuchnięty płomień i mrok spowił oba statki.

W sterowni panowała niczym nie zmacona cisza... Wreszcie przerwał ją dowódca...

— I co wy na to?

— Oni nas najwyraźniej zapraszają do siebie.

— Tak pan sądzi, profesorze?

— Tak to odebrałem.

— Kto jeszcze tak uważa, niech podniesie rękę...

— ...Dziesięć, jedenaście, dwanaście... A ty, Sylwio? W odpowiedzi rozległo się ci-
chutkie chrapanie i wszyscy wybuchnęli gromkim śmiechem.

— Nie budźcie jej, niech sobie trochę pośpi — ujęła się za przyjaciółką Any.
— Widocznie ma zaległości.

— Proszę o spokój!... To znaczy, że przyjmujemy zaproszenie...

— Oczywiście!

— Dziękuję. A teraz trzeba im odpowiedzieć — nacisnął guzik sygnalizatora i krót-
ki, zielony błysk przeszył mroki. Zaproszenie zostało przyjęte.

W odpowiedzi wokół otwartego wjazdu pojawiła się pojedyncza, świecąca obręcz
wskazując wejście do statku. Sąsiedzi byli przygotowani na przyjęcie gości...

— Dan, jak wyniki kontroli ?

— W porządku szefie, wszystko sprawne.

— Dan, weź raketkę i poleć tam, wejdź do środka i rozglądaj się. Innych instrukcji
nie mogę ci dać, bo sam przecież nic nie wiem...

— W porządku, Cleve, w porządku. Lecieć trzeba i to jak najprędzej, aby się gospo-
darze nie rozmyślili. Żaden z was nie może mi przecież jeszcze towarzyszyć, chyba żeby
Any, ale oni mogliby ją pożreć, bo bardzo apetycznie wygląda.

— Nie wygłupiaj się przynajmniej w takiej dziejowej chwili, cyniku — odgryzła się
dziewczyna.

— No spokój, spokój. Mieliście prawie cały rok, aby się swobodnie wykłócić. Dan,
przedyskutuj z inżynierami wyposażenie i za piętnaście minut bądź gotów do startu. Ja
przez ten czas wyprowadzę „pchłę” na zewnątrz. Niech widzą, że coś robimy. Reszta na
stanowiska, bez względu na samopoczucie. Pamiętajcie — trójka obowiązuje. Czy są ja-
kieś pytania?

— Tak. Kiedy wreszcie dostaniemy coś do jedzenia? — zawołał ktoś z kąta.

— Słuszne pytanie. Ja też jestem tym głęboko zainteresowany, An?

— Banda żarłoków!... No, już dobrze, dobrze. Zaraz was ponapycham, prosiaczki.

W znakomitych humorach towarzystwo opuściło sterownię, która wreszcie odzy-
skała wygląd ośrodka dyspozycyjnego nowoczesnej rakiety i przestała sprawiać wraże-
nie zatłoczonego, prowincjonalnego szpitala.

Po chwili Cleve został sam, usiadł wygodnie przy centralnym pulpicie Logokomu,
włączył fonię i rzekł:

— Otwórz czwartą, wewnętrzną śluzę, wprowadź do komory raketkę, zamknij śluzę,
otwórz pierwszą przejściową, przesun raketkę do środkowej komory, zamknij drugą
śluzę, otwórz trzecią i przesun „pchłę” do zewnętrznej. Zamknij trzecią, sprawdź szczel-
ność i otwórz właz. Wyprowadź raketkę na stanowisko startowe. Koniec.

— Tak. Wyprowadzić sondę numer cztery na stanowisko startowe. Wykonuję.

Cleve'owi zrobiło się głupio... Szczegółowym rozkazem potraktował Logokom jak ja-

kieś bezmyślne liczydło, a ten delikatnie przypomniał mu o tym. Przyrzekł sobie w duchu, że to się już więcej nie powtórzy...

Na wielkim, świetlnym schemacie rakiety zapalił się zarys czwartej śluzy. Jej właz znajdował się na wprost obcego statku.

Cleve tak się zamyślił, że nawet nie usłyszał ciężkiego stąpania za sobą. Wstrząsnął się pod dotknięciem metalizowanej rękawicy skafandra i odwrócił się gwałtownie... Dan stał w pełnym rynsztunku próżniowym i uśmiechał się przez szybę hełmu, wyciągając rękę na pożegnanie.

— Cześć Cleve — rozległo się z głośnika.

— Trzymaj się stary. Mów przez cały czas co robisz i nie wyłączaj nadawania, nawet jeśli stracimy łączność, i uważaj na siebie...

— Nic mi się nie stanie, wziąłem ciepły szalik — zaśmiał się nienaturalnie. — Jakby coś... no wiesz..., to moje rzeczy przekaz matce. Ona mieszka w Kalifornii, w takiej małej miejscinie. Adres znajdziesz w moich notatkach...

— O czym ty, chłopie, mówisz! Pogadamy za dwie godziny. — Podszedł do niego i uściskał go serdecznie, grubego i niezdarne go w swoim ciężkim ekwipunku. — Złam kark!

— Czołem!

Odwrócił się i poczłapał do drzwi. Jeszcze przez dłuższą chwilę słychać było z korytarza zanikające stukanie jego magnetycznych buciorów.

Dowódca długo stał wpatrzony w drzwi. W końcu zaklął pod nosem i poszedł do barku nalać sobie kawy. Po chwili na schemacie zapaliła się niebieska lampka w czwartej śluzie. Przeskakiwała z komory do komory i wreszcie zgasła. W tym momencie spod sufitu rozległ się, trochę zmieniony, głos Dana:

— Cleve, jak mnie słyszysz?

— Bardzo dobrze, a ty?

— Ja też. Idę do rakiety. Zaraz będzie chwilowa przerwa w łączności.

Ciszę sterowni przerwał szmer kroków; na własnych nogach zameldował się Kim. Bez słowa usiadł na sąsiednim fotelu.

W głośniku rozległy się jakieś chroboty i piski, ale wnet wszystko ucichło i odezwał się Dan:

— Siedzę już w środku. Czy mogę startować?

— Ruszaj.

Najmniejszym ciągiem oderwał się od skorupy „Miraxa” i w tym momencie ogarnął go obezwładniający strach. Spojrzał w lewo, tam gdzie celował dziób ich statku i zobaczył niezmierzone morze iskier, małych i większych, samotnych i zgrupowanych po kilka, kilkanaście. Gdzieś w tym zbiorowisku światów było Słońce — maleńki proch Kosmosu.

Przed nim majaczył ogromny dysk obcego statku z pałającym włazem w środku.

Dysk rósł w oczach, pochłaniając coraz to nowe gwiazdozbiory, objął już prawie ćwierć nieboskłonu i dalej potężniał. Absorbował całą uwagę i Dan błogosławił go za to, że istnieje, bo zdawał sobie sprawę z tego, że gdyby przed nim było tylko morze gwiazd i galaktyk chyba oszalałoby ze strachu...

— Co się z tobą dzieje?

— Ze mną? E... nic. Tylko tak się zamyśliłem.

— To przestań myśleć. Widzimy cię na ekranie. Jest tu ze mną Kim; już chodzi.

— Brawo Kim. Polecisz ze mną na następną wycieczkę?

— Oczywiście, tylko zamów tam dla mnie nocleg.

... Siłą się na dowcip — pomyślał — żeby mnie jakoś podtrzymać na duchu. Fajne chłopaki...

Oświetlony zielonym światłem właz było już widać bardzo wyraźnie. Wyłączył ciąg i zaczął intensywnie wpatrywać się w rzadniejącą ciemność, aby wybrać miejsce do lądowania. Zdecydował się na bezpośrednie sąsiedztwo włazu, bo tam łatwiej było zakotwiczyć raketkę, gdyby magnetyczna kotwica nie działała. Włączył dziobowe silniczki hamujące i powoli spływał w stronę upatrzonego punktu koło włazu.

— Podchodzę do lądowania

— Co widzisz?

— Nic nowego, żadnego ruchu.

Przesunął się trochę w lewo i z lekkim wstrząsem osiadł na panczeru, o metr od jednego ze słupów. Włączył kotwicę, ale nie działała: pancierz nie był ferromagnetyczny.

— Wysiadam, kotwica nie działa. Muszę przywiązać „pchłę”.

— Mów co widzisz.

— Cztery słupy, nad nimi dach, a pod spodem dziura, tak na oko ze trzy metry średnicy. Oświetlona.

Wyjął solidną linkę, jeden koniec przywiązał do uchwyty, a drugi owinął dookoła słupa.

— Jak w kowbojskim filmie — mruknął.

— Co mówisz?

— Nic, nic. Zabieram majdan i wążę do środka. Wracam najpóźniej za dwie godziny. Niech tam kto usmaży mi befsztyk, bo będę głodny jak wilk. Cześć!

— Uważaj na się... — połączenie się urwało.

Korytarz miał idealnie okrągły przekrój i był oświetlony mdłym, białym światłem. Płynął nim posługując się zbiorniczkiem sprężonego helu jak silnikiem odrzutowym, bo sztucznej grawitacji na statku nie było.

Spojrzał za siebie i zobaczył zasuwającą się ścianę. Było oczywiste, że muszą mieć jakieś śluzy, ale i tak dreszcz przebiegł mu po plecach. Drogę powrotną miał odcięta!

Przed nim rozsunała się ściana i dalszy fragment drogi Zajaśniał w mroku. Tam

oczekiwał na niego automat.

Zachowując maksymalną ostrożność zbliżył się do niego, a wtedy automat powoli ruszył korytarzem. Dan już miał ruszyć za nim, kiedy przypomniał sobie o tym, że nie nagrywa swoich wrażeń. W paru słowach opisał zamykanie się śluz, korytarz i wygląd przewodnika. Następnie przywiązał koniec długiej, kilkusetmetrowej silnej nici do jakiegoś występu cylindrycznego korytarza i błogosławiąc księżniczkę Ariadnę za ten prosty wynalazek, ruszył za swoim pokracznym cicerone.

Po kilkunastu metrach dobrnęli do poprzecznego chodnika i skręcili w lewo. Ten korytarz miał przekrój kwadratowy, a co parę metrów widniały w ścianach ciemniejsze prostokąty. Wyglądało to na drzwi do pomieszczeń, i rzeczywiście, jeden z tych prostokątów był odsunięty umożliwiając zajrzenie do środka. W słabym świetle padającym z korytarza widać było kłębowisko bliżej nieokreślonych przedmiotów, szczelnie wypełniających pomieszczenie.

Wiedziony ciekawością zapalił lampę czołową i strumień światła wyłowił z mroku gąszcz kształtów niemożliwych do opisanía. Zaczął szukać w myślach porównania do czegoś znanego sobie, ale nic nie pasowało do tych powyginanych zarośli, może tylko coś, co oglądał kiedyś na wystawie rzeźby abstrakcyjnej...

Wziął do ręki najbliższy z nich i długo stał oczarowany niepokojącym pięknem, płynącym od tych skomplikowanych tworów.

Wreszcie odłożył na miejsce dziwny przedmiot i spojrział na zegarek — od opuszczenia „Miraxa” minęło dopiero dwadzieścia minut, a jemu się zdawało, że to już kilka godzin. Rzucił okiem na wskaźnik ciśnienia tlenu — wszystko się zgadzało.

To przypomniało mu o jego zaniedbaniach. Otworzył minianalizator środowiska i dokonał pospiesznej analizy atmosfery wnętrza statku. Dwukrotnie zrobił pomiar i za każdym razem wychodziło to samo — czysty hel ze śladami dwutlenku węgla i pary wodnej.

... Jak oni tym oddychają — pomyślał.

Licznik wskazywał promieniowanie poniżej tła zewnętrznego. Wewnątrz statku temperatura wynosiła 280 stopni Kelvina. Nagrał te dane na taśmę, złożył analizator i ruszył za automatem w stronę przewężenia utworzonego przez dwie płyty. Gdy przepływał między nimi rozległ się na moment przeraźliwy dzwonek, a lampka indykatora promieniowania zapłonęła rubinowym blaskiem i zgasła.

— Cholera, portret mi zrobili — wyrwało mu się.

Korytarz kończył się ślepą ścianą, ale gdy zbliżyli się do niej — rozsunała się ukazując jakieś duże pomieszczenie. Automat zniknął w małej niszy po prawej stronie, a Dan poczuł, że opada na podłogę i staje się coraz cięższy.

— Widocznie włączyli lokalny system grawitacyjny — mruknął stojąc już dość pewnie na nogach i rozglądając się wokoło.

Drzwi zasunęły się i został sam w pomieszczeniu, którego przeznaczenia nawet nie próbował się domyślać.

Nagle usłyszał szmer w słuchawkach i swój własny głos, mówiący:

— Cholera, portret mi zrobili. — A za moment: — Widocznie włączyli lokalny system grawitacyjny.

— Ja chyba zwariowałem — mruknął.

— Dan, co ci się stało, gdzie ty jesteś! — to był najwyraźniej głos Kima.

— Halucynacje...

— Dan, to nie halucynacje. Tu „Mirax” Słyszemy cię dobrze, mów gdzie jesteś.

— To ty, Cleve?

— Tak, przecież słyszysz...

— Ja cię nie mogę słyszeć, bo jestem w samym środku statku. Ty nie jesteś Cleve.

— Czyś ty zwariował! A kim mam być?

— Nie wiem. To wszystko mi się nie podoba... Jak możesz udowodnić, że ty, to ty?

— Człowieku, opanuj się! Jest tu ze mną Kim i słyszy te twoje brednie. Czy ci to wystarczy za dowód, że ja, to ja, bo wiem kto siedzi ze mną w sterowni?

Dan zastanowił się chwilę...

— Nie wystarczy. To wszystko co ty mówisz, wiem i ja, dlatego nie może być dowodem twojej tożsamości. Powiedz coś takiego, czego ja nie wiem, a co będę mógł uznać za prawdę. Wtedy ci uwierzę! Cisza zapanowała w słuchawkach i Dan z satysfakcją pomyślał, że jeśli pasażerowie tego statku wykradli mu tajemnice mózgu i podszywają się pod Cleve'a, to dał im trudne zadanie do rozwiązania, i rzeczywiście, po chwili odezwał się Kim :

— Dan, to co mówisz, jest niemożliwe do zrealizowania. Wierzysz, czy nie wierzysz w naszą tożsamość, to nie ma w tej chwili najmniejszego znaczenia. Prowadź dalej penetrację statku i informuj nas o wszystkim. Zgoda?

— Nie, nie zgoda. Jeśli ty — to ty, wtedy sprawa jest prosta. Znaczy, że oni umożliwili nam łączność swoimi kanałami. Ale jeśli dobrali się do mojego mózgu i potrafili mnie zmusić do dyskusowania z samym sobą, wtedy sprawa wygląda daleko poważniej. Dlatego muszę wiedzieć co w trawie piszczy. Jasne?

— Tak, chłopie... Masz rację, ale jak cię upewnić?

— Już wiem! Zawołajcie An, a ja zadam jej pytanie.

— Any do sterowni. Natychmiast. Odbiór...

— Już idę — dobiegł go zniekształcony i cichy głos dziewczyny, a następnie zapanowała cisza i Dan nie ruszając się z miejsca zaczął penetrować wzrokiem pomieszczenie, w którym stał już od dobrych paru minut. W międzyczasie nic tu się nie zmieniło, nie dostrzegł nigdzie żadnego ruchu. Pod ścianami stało kilka automatów jednego typu, znacznie różniących się od jego „przewodnika”, który został za drzwiami.

— Dan, to ja — usłyszał dźwięczny głos swojej towarzyszki dyżuru. — Czego chciałeś ode mnie?

— A... to ty. Zagwiźdź tę melodię, która mi się tak podoba, a której nie mogłem w żaden sposób się nauczyć.

— Co ty...

— Gwiźdź albo zanuć, jak wolisz. To bardzo ważne dla mnie.

— No, jeśli to takie ważne... — i z głośnika rozległy się pierwsze takty melodii. Teraz już był pewien, że to wszystko nie jest jakimś gigantycznym szwindlem, bo to była właśnie ta melodia.

— Dziękuję An i przepraszam za kłopot.

— Trzymaj się...

Odetchnął z ulgą. A więc to tak... Oni retransmitują ich rozmowę przy pomocy urządzeń radiowych. Ładny gest z ich strony... Ale równocześnie nagrywają i oczywiście analizują. Gdzie oni są? Dlaczego się nie pokazują? Dziwne maniery — gość w dom, a gospodarze się pochowali i z ukrycia obserwują jego zachowanie. A że obserwują, tego był pewien. Od chwili wejścia do tej sali miał wrażenie czyjejs obecności.

Zaczął przechadzać się ostentacyjnie, zaglądać we wszystkie kąty. Zaczynało go to wszystko już lekko złościć, gdy wtem ze słuchawek hełmowych popłynęła jakaś piękna, dziwnie znajoma, a jednak jakby całkowicie obca melodia.

Wsluchiwał się w nią oczarowany usiłując skojarzyć ją z czymś znanym sobie i wreszcie mu się udało! Oczywiście, to była wygwizdana przed chwilą przez An melodia, a raczej wariacje na jej temat, odtworzone przez jakąś niesamowicie rozbudowaną orkiestrę symfoniczną o niespotykanym brzmieniu.

Muzyka płynęła powoli i dostojnie, bezustannie powracając do tego samego motywu, ale za każdym nawrotem nieco odmienionego. Gdzieś, kiedyś słyszał coś podobnego... tak, to było podobne w konstrukcji do „Bolera” Ravela. Tylko to brzmienie, to brzmienie!

Wreszcie muzyka umilkła, a z zamyślenia wyrwał go głos Cleve'a:

— Co to było?

— Marsz powitalny na naszą cześć, w wykonaniu lokalnej orkiestry strażackiej.

— Znowu się wygłupiasz!

— Ja? Miejcie pretensje do nich! — No, już dobrze, dobrze. Co widzisz?

— Nic nowego. Jak będzie coś ciekawego, to dam znać.

Zaczynała go opanowywać coraz potężniejsza złość, bo w końcu jakaś grzeczność obowiązuje każdego, nawet jeśli potrafi on zbudować statek wielki jak planetoida, albo w ciągu kilkunastu sekund skomponować i wykonać kawałek dobrej muzyki. ... W końcu to oni nas zaprosili.

W tym momencie automaty stojące dotychczas nieruchomo pod ścianą drgnęły i za-

częły sunąć w jego stronę. Odruchowo cofnął się o krok, ale zaraz wrócił z powrotem, aby nie myśleli, że się zląkł robotów...

Cała piątka zatrzymała się o jakieś dwa metry przed nim, a środkowy wysunął się jeszcze z pół kroku do przodu. Wyglądało to na coś w rodzaju powitania.

Automaty miały identyczne, gruszkowate kształty i na pierwszy rzut oka nie różniły się niczym od siebie, ale gdy stanęły w szeregu wyraźnie było widać różnice w wielkości i odcieniu pancerza.

Najwyższy z nich, ten który wysunął się do przodu, sięgał Danowi do ramienia.

W szczytowej części każdego z nich opalizował niewielki ekran, a na nim coś się poruszało. Podszedł bliżej, aby przypatrzeć się tym migotaniom, ale w tym momencie automaty jak na komendę odwróciły się w bok.

Pobiegł wzrokiem w tym kierunku i zobaczył na ścianie duży ekran, a na nim ich „Miraxa” na tle gwiazd. W pewnym momencie od statku oderwała się raketka i zaczęła rosnać w oczach.

Potem zobaczył siebie, jak wysiada z niej i przywiązuje pojazd linką do słupa. Widział całą swoją drogę we wnętrzu statku, aż do miejsca gdzie go prześwielono.

Od tego momentu obraz znieruchomiał; pół ekranu zajmował jego wizerunek, normalne zdjęcie w skafandrze. Zajaśniała druga połowa ekranu i na niej ukazał się, obok niego, wizerunek takiego samego robota, jakich pięć stało opodal.

— A więc to są oni...

— Co mówisz?

— Mówię, że przedstawiono mi załogę. Jest ich tu pięć sztuk — same automaty.

— Może się mylisz, Dan? Może to istoty żywe?

— Żywe istoty z kwadratowym otworem w czole! Pokazali na jednej połowie ekranu mnie, a na drugiej takiego blaszanego faceta. Chyba jasna sprawa?

— Zapytaj ich, skąd lecą?

— Jak?

— Rysunkowo. Masz przecież na wyposażeniu pisak ciśnieniowy i folię.

— Dobra...

Wyjął arkusz folii do pisania, podzielił go na dwie części i na jednej z nich narysował schematycznie Galaktykę, a na niej wyrysował ich trasę, przesadzając oczywiście kilkadziesiąt razy jej długość, bo inaczej te parę lat świetlnych byłoby tylko punktem. Z boku umieścił sylwetkę „Miraxa” i zadowolony z wyniku wyciągnął rękę z rysunkiem w stronę „szefa”, jak w myśli ochrzcił ten środkowy automat.

Podobny trochę do dużego pingwina „szef” drgnął i wtedy okazało się, że ma on coś w rodzaju kończyn. Jedna z nich wysunęła się z obłego tułowia i delikatnie wyjęła folię z jego ręki. „Szef” podsunął się pod ścianę, pomanipulował w gąszczu wystających prętów i na ekranie ukazał się wspaniały obraz Galaktyki, a na jego tle cieniutka wstążka

trajektorii. Aby nie było wątpliwości, na końcu wykropkowanej trasy pojawił się zarys okrągłego statku. Ślad przebytej przez niego drogi rozpoczynał się na brzegu ekranu, daleko poza granicami gigantycznego wiru.

— „Mirax”! „Mirax”! Słyszycie mnie?

— Tak, świetnie. Co się stało?

— Oni przybywają spoza Galaktyki!

Cisza jaka zapanowała po tym okrzyku, była najlepszym dowodem całkowitego zaskoczenia. Wyobrażał sobie, jakie oni tam, w sterowni, mają niewyraźne miny. To była bomba, przy której wyniki ich rocznych badań w układzie Bernarda były nic nie znaczącym epizodem. Były tylko teraz nie zawalić sprawy!

Spojrzał na zegarek — została mu jeszcze prawie godzina. Tlenu miał na dwie doby.

— Dan — usłyszał drżący z przejęcia głos dowódcy — postaraj się stworzyć jakiś początek dialogu.

— Tylko tyle? Myślałem, że masz dla mnie jakieś poważniejsze zadanie.

— Stary, nie denerwuj się. Ja wiem, że to wszystko jest cholernie trudne, że wymagam od ciebie rzeczy nieprawdopodobnej, ale i sytuacja jest hiper-wyjątkowa...

— Wszystko gra, szefie. Już się robi. Jeśli wytrzymałem rok z moją uroczą towarzyszką dyżuru, to i z tymi blaszanymi pingwinami się dogadam.

— Świnia!

— A, to ty kochanie?... Nie wiedziałem, że przyszłaś do sterowni. Jak zdrowko?

— Czekaj, już ja cię dostanę w swoje ręce, tylko wrócisz...

— Cleve, biorę cię za świadka. Ona mi chce zrobić krzywdę!

— Przestańcie się publicznie wygłupiać. Zupełnie jak dzieci...

— No, już dobrze, dobrze. Zaraz z nimi pogadam. Tylko, jak ja będę się tu wydziczał z tymi robotami, żeby mi nikt nie wchodził na fonię z dobrymi radami.

— Możesz być spokojny...

W czasie tej wymiany zdań cała piątka automatów stała nieruchomo, jedynie ich małe ekraniki pulsowały nieustającym rytmem świateł. Dan zdawał sobie sprawę, że losy dalszego rozwoju kontaktów znalazły się w jego rękach. Gwałtownie poszukiwał w głowie jakiegoś sposobu rozpoczęcia oczekiwanego dialogu, ale nie znajdował tam żadnego przyzwoitego pomysłu. Jedyne, co zdołał wykombinować, to zastosowanie systemu, którego użył Robinson Cruzoe ze starodawnej powieści dla młodzieży, ucząc uratowanego z rąk ludożerców Piętaszka.

Zdesperowany stanął przed „szefem” i wskazując na siebie paluchem, rzekł głośno i wyraźnie:

— Dan.

Cała piątka stała dalej nieruchomo, nie okazując na pozór żadnego zainteresowania jego wyczynami. Tylko ekraniki zmieniły barwę i rytm pulsowania.

— Dan — powtórzył jeszcze raz, stukając się kilkakrotnie w pierś. Pingwiny zdawały się nie pojmować, o co mu chodzi. Zrezygnowany machnął ręką i zaczął intensywnie myśleć nad innym sposobem dotarcia do nich, gdy nagle usłyszał jakiś nietypowy, delikatny szum w głośniku, podobnie jak wtedy, gdy zaskoczył go jego własny głos mówiący: „Cholera, portret mi zrobili”.

Szum narastał, falował, przechodził w wysoki, modulowany dźwięk. Dźwięk zaczął się rwać na równe odcinki przegrodzone sekundami ciszy, stawał się coraz bliższy, coraz bardziej znajomy, przeszedł w coś pośredniego pomiędzy szczekaniem psa a miauczeniem kota i wreszcie stało się jasne, po co ta cała kakofonia została zaaranżowana. Z chaosu urywanych dźwięków wychynęło jego imię, z początku strasznie zniekształcone, ale za każdym powtórzeniem coraz wyraźniejsze...

— M a m... mam... ta m... d a m... d a m... d a n... dan... dan...

— Dan, Dan — włączył się uradowany.

— Dan — powtórzył już zupełnie poprawnie głośnik hełmofonu i ucichł.

Radość i duma z wielkiego osiągnięcia aż go rozsadzały. Miał ochotę uściskać „szefa” i jego czterech kumpli, ale bał się żeby to nie zostało odebrane jako odruch agresji, żeby nieprzemyślanym gestem nie zburzyć tego wszystkiego, co zdołał dotychczas osiągnąć.

Powoli i z godnością podniósł leżący opodal kawałek folii i na wolnej połowce narysował jak umiał najlepiej małego ludzika, a pod nim napisał CZŁOWIEK. Powtórnie wręczył folię „szefowi” i wskazując długopisem na karykaturę, do której autorstwa nie chciałoby się przyznać niejedno siedmioletnie dziecko powiedział:

— Człowiek.

Następnie wskazując na poszczególne głoski wymawiał je wyraźnie...

— CZŁOWIEK.

Powtórzył całą operację kilka razy, a na koniec znów wskazał na siebie i powiedział:

— Dan, człowiek.

Tym razem poszło im znacznie szybciej. Już po chwili głośnik zabrzmiał jego imieniem, po którym następował nieokreślony, niczego nie mówiący dwusylabowy dźwięk. Próby imitowania głosu były tym razem znacznie szybsze i po kilku nieudanych powtórzeniach rozległo się prawidłowe:

— Dan... człowiek... Równocześnie na wielkiej, świetlnej tablicy ukazały się jego gryzmoły, po nich karykaturalny człowieczek, a na końcu obraz, który już oglądał poprzednio — swoje „prześwietlenie”, jak to w myśli nazywał.

Wszystkie te trzy elementy zapalały się i znikały kolejno, potem oba wizerunki zaczęły ukazywać się równocześnie w górnej połowie ekranu, zaś dolna rozbłyskiwała wielokrotnie powiększoną kopią jego napisu. W końcu migotanie ekranów ustało i wszystkie trzy płonęły spokojnie.

Dan podniósł rękę chcąc otrzeć sobie pot z czoła i w tym samym momencie uśmiech-

nał się zdając sobie sprawę z sytuacji. A spocił się tak, że klimatyzacja wewnętrzna nie nadążała z usuwaniem wilgoci na zewnątrz.

Zmęczenie wywołane ciągłym napięciem dawało znać o sobie; jedynym jego marzeniem było wrócić jak najprędzej do swojej kajuty i położyć się spokojnie na łóżku, w przyzwoitym polu grawitacyjnym. W głowie czuł kompletną pustkę, ale zdawał sobie sprawę z tego, że nie może jeszcze teraz, tak sobie odejść i zostawić ich stojących nieruchomo.

Z drugiej strony wiedział, że sam już nic nowego nie wymyśli, więc wezwał swoich.

— „Mirax”, „Mirax”, zgłoś się.

— Tu „Mirax”, mów.

— Nauczyłem ich mówić i pisać. Wystarczy?

— Słyszeliśmy wszystko. Jesteś genialny!

— Wiem o tym, ale już bym chętnie wrócił. Macie jakieś propozycje?

— Musisz ich zaprosić do nas. Koniecznie! Rusz mózgowicą.

— Dobrze, ale to już będzie ostatnia robota?

— Oczywiście. Zaproś i wracaj. Befsztyk już się smaży!

— Jeśli tak, to zaraz się z nimi uwinę.

Wyjął z kieszeni następny kawałek folii i posługując się nieocenionym pisakiem zaczął mozolnie rysować oba statki, między nimi coś w rodzaju drabinki sznurowej, wreszcie swoją raketkę zmierzającą w stronę „Miraxa”, a za nią „pingwina w butelce”, jak to w myśli określił.

Kiedy rysunek był już gotów, wręczył go posagowemu „szefowi” i czekał co z tego wyniknie.

Obdarowany potrzymał przez chwilę folię w „łapie” i nareszcie nieruchoma od dłuższego czasu grupa drgnęła. Cała piątka ustawiła się tak, że tworzyła pierścień, dotykając się wysuniętymi w bok „łapami” ... Naradzają się — pomyślał Dan, obserwując z boku rozgrywającą się scenę.

„Narada” musiała mieć burzliwy przebieg, bo ekraniki błyszczały zmiennym światłem, a niektórzy z dyskutantów całkowicie zatracili swój dotychczasowy stoicki spokój i nerwowo posuwali się to do środka, to zaś na zewnątrz kręgu.

Wreszcie skończyła się widocznie kompromisem, bo pierścień pękł i towarzystwo znów stanęło grzecznie w szeregu, z „szefem” na czele. Ten ostatni podsunął się na metr od Dana, wyciągnął do przodu swoje dwie „ręce”, a jego kwadratowy ekranik błysnął soczystym, zielonym światłem. Równocześnie z głośnika hełmofonu rozległo się wyrażne:

— Dan... człowiek...

Najdelikatniej jak tylko mógł dotknął wysuniętych „rąk” robota i trwali tak kilka sekund nieruchomo; przyjaźń została zawarta. Po chwili „szef” odsunął się do tyłu i tym

razem już cała piątka błysnęła na zielono, a wielki ekran na ścianie zgasł.

— Cleve, słyszysz mnie?

— Tak.

— Wydaje mi się, że zaproszenie zostało przyjęte z zadowoleniem. Szykujcie jadła i napitki.

— A... kiedy?

— Czy ty nie za wiele wymagasz? Nie wiem!

— No to wracaj już. Czekamy.

— Idę.

Odwrócił się od stojących nieruchomości gospodarzy i ruszył drogą, którą poprzednio przyszedł. W korytarzu czekał na niego ten sam automat, który go tu przyprowadził. Pole grawitacyjne skończyło się wraz z opuszczeniem „sali posiedzeń”

Tym razem nie włączał już helowego silniczka lecz poruszał się zwijając w kłębek swoją nić, przywiązaną koło śluzy. ...Wyglądam jak latawiec na sznurku, tylko mi ogon przyprowadzić — pomyślał. — Dobrze, że nikt mnie nie widzi.

Ten fragment korytarza, gdzie przedtem znajdowało się przewężenie, w którym go tak dokładnie prześwietlili, obecnie nie różnił się niczym od reszty. Urządzenie zostało zdemonstrowane i gdzieś odtransportowane.

Znow przepłynął koło składu „abstrakcyjnych rzeźb” i zatrzymał się gwałtownie, hamując rękawicą o ścianę. Nić skręcała w boczny, okrągły korytarz, ale skręcała w lewo! Tam też gramolił się automat.

Pamiętał doskonale, że idąc tu skręcił z okrągłego korytarza w lewo, wobec tego wracając powinien skręcić w prawo. Ale nić skręcała w lewo!

Zaczynało mu się robić niewyraźnie na duchu... Nagle gruchnął potężnym śmiechem, przekręcił się o sto osiemdziesiąt stopni i wszystko wróciło do normy. Nić skręcała teraz grzecznie w prawo.

Bez dalszych przygód dotarł do miejsca, w którym umocował nitkę, poczekał aż otworzy się wewnętrzna śluza, poklepał na pożegnanie swojego przewodnika i wpłynął do komory. W minutę później znalazł się w otwartym włazie, odnalazł swoją raketkę, odwiązał ją i wypróbowanym poprzednio sposobem wciągnął się po lince do wnętrza. Zamknął drzwiczki i odetchnął pełną piersią — tam, za szybą wizjera, milionami iskier skrzyła się Galaktyka, ale tu, w środku było przytulnie i swojsko jak w domu. Na tle rojowiska Drogi Mlecznej, ciemniejszy od wiecznej nocy majaczył maleńki z tej odległości „Mirax”. Gdyby nie dwa migające światła pozycyjne, na dziobie i na rufie, nie dostrzegłby go, zagubionego w otchłani.

Włączył silnik i „pchła” oderwała się od powierzchni statku kierując się w stronę „Miraxa”.

...Gdybym tak nagle zemdleł, albo coś nawaliło... — wstrząsnął się na samą myśl o ta-

kiej możliwości. — Po prostu ściągnęliby mnie radiem, albo ktoś by przyleciał drugą rakieta i doholował...

Wiedział, że takie myśli nachodzą każdego, kto znajdzie się samotny w przytłaczającej czerni Wszechświata, nawet stare wygi kosmiczne przyznają się do nich. To jest silniejsze od człowieka, ten rodzaj strachu znajduje się ponad rutyną...

— „Mirax”! „Mirax”! Odezwij się!

— Co się stało Dan? Dlaczego krzyczysz?

— Ja... ja wcale nie krzyczę. — Fala strachu opadła równie szybko jak się pojawiła.

— Chciałem tylko powiedzieć, że wystartowałem w powrotną drogę.

— Wiem, mamy cię na wizji.

Nie rozglądał się więcej na boki, tylko wlepił wzrok w światła pozycyjne „Miraxa”, które z każdą sekundą oddalały się od siebie. Już widać było oświetlony właz i stanowisko startowe. Gdy rakieta stuknęła o pancierz i znieruchomiała na magnetycznej kotwicy szybko otworzył drzwi i nie oglądając się na nic zniknął w komorze służowej.

Teraz czekała go obłądnie drobiazgowa kontrola bakteriologiczna. Trwało to wszystko prawie godzinę, nim wreszcie Mary Brox, odpowiedzialna za ochronę sanitarną orzekła, że nie przywłókł żadnego obcego mikroorganizmu.

Dopiero teraz otwarły się przed nim hermetyczne drzwi izolatki i wpadł w objęcia kolegów.

Przez te cztery godziny na „Miraxie” zaszły duże zmiany — cały statek tętnił życiem, wszystkie urządzenia pracowały normalnie, a grupa „chodzących” członków załogi powiększyła się o Kima.

Dan przede wszystkim udał się do swojej kajuty, przebrał w wygodne, miękkie ubranie i już miał wychodzić, gdy zjawił się robot-steward z największym, jaki można było znaleźć, talerzem, na którym leżał olbrzymi, dymiący befsztyk w otoczeniu różnokolorowych jarzyn. Na tacy stała również butelka najlepszego czerwonego wina, którego zapasy miały jakoby — według słów Any — wyczerpać się już trzy lata temu.

— Smacznego...

— Dziękuję ci Stephen. Możesz odejść.

Kończył już pochłanianie gargantuicznego posiłku gdy wszedł Cleve...

— Odżyłeś już?

— Całkowicie.

— W takim razie chodź do sterowni, zdasz sprawozdanie i naradzimy się co dalej.

— Będę tam za pięć minut.

— Dobrze. Przez ten czas ja zwołam wszystkich.

— Cleve, czekaj... Wypij ze mną lampkę wina, bo musisz przyznać, że okazja jest wspaniała.

— Okazja jest, ale zrozum... stan alarmowy trzeciego stopnia!

— No to odwołaj.

— A niech cię...! — podszedł do mikrofonu i rzekł: — Dowódca do załogi. Odwołuję alarm trzeciego stopnia. Obowiązuje stan wzmożonej czujności. Za trzy minuty wszyscy proszeni są do sterowni. Koniec. — Następnie wyłączył mikrofon i podniósł w górę lampkę.

— Twoje zdrowie Dan. zrobiłeś dużą rzecz...

— O wy świntuchy! A ja to pies?

Odwrócili się jak na komendę w stronę drzwi, w których stała udająca oburzenie Any. Dan odstawił swoją lampkę...

— Trzeba jej chyba nalać Cleve. Jak myślisz?

— Nie mamy innego wyjścia...

I znowu jak przed kilku godzinami sterownia upodobniła się do werandy jakiegoś sanatorium, zatłoczonej leżakami. Tym razem już tylko dziewięć osób przyjechało w fotelach. Największą niespodziankę sprawiła Sylwia, zjawiając się na własnych nogach, ubrana jak na majówkę. Wszystkie oczy zwróciły się na nią; w sterowni od razu zrobiło się jakby weselej.

Cleve w paru słowach rozpoczął naradę i zaraz oddał głos Danowi. Ten zdał sprawozdanie ze swojej wyprawy i rozpoczęła się dyskusja. Jako pierwszy zabrał głos astronom Ogilwu, jedyny Murzyn na pokładzie...

— Proszę Koleżeństwa. Z wypowiedzi Dana wynika, że oni przylecieli spoza naszej galaktyki. Jeśli uznamy to za fakt, wynikną z tego określone konsekwencje. Pierwszą z nich będzie minimalny czas trwania ich wyprawy. Biorąc pod uwagę ich szybkość podróży w momencie spotkania z nami za wyjściową, nasi sympatyczni goście muszą znajdować się w podróży już od co najmniej miliona lat! Jest to najmniejsza liczba z możliwych do uzyskania. Wtedy ich ojczyzna, a raczej ojczyzna ich konstruktorów znajdowałaby się gdzieś w Mgławicy Andromedy. W dalszych rozważaniach proszę zwrócić baczną uwagę na ten istotny element, gdyż on niejako z góry ustawia hierarchię dwóch kontaktujących się cywilizacji. Poziom ich rozwoju nie musi być wprost proporcjonalny tylko do wielkości obydwu statków... Dziękuję.

— Jako łącznościowiec — rozpoczął swą wypowiedź pokładowy inżynier MacDonald, gładząc wspaniałą, rudą brodę — muszę stwierdzić, że ich statek do czasu wejścia tam Dana nie emitował fal elektromagnetycznych. Nadajnik o identycznej mocy i częstotliwości jak nasze, zainstalowane w skafandrach, zaczął pracować tylko po to, aby umożliwić naszemu wysłannikowi łączność ze swoim statkiem. Z całą pewnością mogę stwierdzić, że oni potrafią zapisywać, magazynować, odtwarzać i przesyłać informacje za pomocą fal elektromagnetycznych. Czy mają inne możliwości przesyłania, nie wiem. Na koniec dodam, że istnieje teoretyczna możliwość nawiązania kontaktu pomiędzy nimi, a naszym Logokomem, ale zastrzegam się, że jej prawdopodo-

bieństwo jest nader nikłe...

— Szkoda, że nie ma Nakamury, może on by sobie z tym poradził. Kto dobrowolnie zabawi się w cybernetyka?

— Ja spróbuję.

— Sylwia?...A rzeczywiście! o ile dobrze pamiętam, robiłaś pracę dyplomową z pogranicza cybernetyki i biologii?

— Mogę spróbować.

— Doktorze Peterson. Pan, jako psycholog, również powinien brać w tym udział.

— Jestem tego samego zdania...

— To świetnie. W takim razie mamy już Zespół do Spraw Kontaktów Międzygalaktycznych! I pomyśleć, że jeszcze kilka godzin temu spaliśmy błogim snem, nic nie wiedząc o świecie...

— Jeśli można... — Mary Brox podniosła rękę prosząc o głos.

— Bardzo proszę.

— Wprawdzie badanie skafandra Dana na obecność obcych drobnoustrojów dało wynik negatywny, ale ostrożności w tym względzie nigdy nie jest za wiele. Najprawdopodobniej statek naszych gości jest całkowicie sterylny, gdyż ci, którzy go przed tysiącami lub milionami lat wysłali w przestrzeń, zadbali o to. Jego załoga składająca się z automatów nie może być nosicielami żadnych form organicznych. Wpuszczenie Dana do wnętrza ich statku dowodzi, że oni nie obawiają się mikroorganizmów, ale my nie możemy sobie pozwolić na taki gest. Jeśli przybędą do nas, musimy ich oczywiście wpuścić do środka, ale najpierw zostaną poddani normalnemu testowi na mikroorganizmy.

— Słusznie Mary, tylko błagam cię, zrób to możliwie szybko.

— Postaram się, aby ich nie urazić...

— Dziękuję. Kto jeszcze chciałby coś powiedzieć?... Nie ma chętnych... W takim razie powołuję grupę do bezpośredniego kontaktu. W jej skład wejdą następujące osoby: Dan, Sylwia, doktor Peterson i ja. Pozostali członkowie śledzić będą tok naszej pracy na monitorach, trwając na swoich stanowiskach. Wszystkie propozycje, uwagi i wątpliwości nasuwające się podczas trwania kontaktu — bez względu na to, czy ich tematyka będzie zgodna ze specjalnością zainteresowanego — proszę zgłaszać bezpośrednio do mnie... A teraz pozostaje nam tylko czekać na nich.

— Zdaje mi się, że nie zabierze nam to zbyt wiele czasu — odezwał się Kim.

Wszystkie oczy zwróciły się w stronę głównego ekranu. Świecący krąg wokół włazu zniknął, a na jego miejscu płonął purpurowy kwadrat. W samym jego środku coś się poruszyło i po chwili od statku oderwała się niewielka kapsuła biorąc kurs na „Miraxa”.

— Załoga na stanowiska!

Nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Po chwili w sterowni pozostała już tylko wyznaczona czwórka.

Połyskując w świetle gwiazd kapsuła rosła w oczach. Podobnie jak statek macierzysty miała kształt grubego dysku, a średnicę około trzech metrów. Idealnie gładkiej powierzchni nie mącił ślad jakiegoś otworu wejściowego czy obserwacyjnego. Przed oświetloną platformą zawisła na kilkanaście sekund, jakby namyślając się czy wylądować, i w końcu delikatnie opadła na kadłub „Miraxa”. Górna część dysku uniosła się w górę i kamera ukazała dwa roboty zmierzające w stronę wjazdu; były bez żadnych dodatkowych osłon.

Śluzowanie gości zostało przeprowadzone szybko i sprawnie, co było do przewidzenia, bowiem proces ten prawie wcale nie różnił się od stosowanego na statku przybyszów. Następnie dostali się w ręce Mary Brox, która dokonywała cudów zręczności, robiąc przy pomocy swoich automatów niezliczone testy na mikroorganizmy. Goście przyjmowali te zabiegi ze stoickim spokojem. Wreszcie po kilkunastu minutach rozległ się w sterowni jej głos, zawiadamiający z ulgą o całkowitej sterylności przybyszów.

Dan już czekał na nich u wyjścia z komory sanitarnej. W wyższym z gości rozpoznał znanego już sobie „szefa”. Z trudem wyperswadował sobie wyciągnięcie ręki na przywitanie, wyobrażając sobie ile byłoby z tego powodu śmiechu i kpin.

Równocześnie ogarnęła go nieprawdopodobna trema, gdy zdał sobie sprawę z tego, że każdy jego ruch jest zapisywany i w przyszłości będzie analizowany i komentowany przez miliardy ludzi.

Z twarzą Sfinksa obrócił się na pięcie i ruszył korytarzem nie oglądając się na gości. Po przejściu kilkunastu kroków nie wytrzymał i odwrócił głowę — sunęli ze trzy metry za nim płynąc parę centymetrów nad podłogą.

...Roboty na poduszce grawitacyjnej — przemknęło mu przez głowę...

W sterowni czekała już na niego pozostała trójka; wszyscy mieli bardzo niewyraźne miny.

Na widok Dana i gości wstali ze swoich miejsc, nawet psycholog zdobył się na ten wyczyn po raz pierwszy od przebudzenia. Na tym skończyła się cała ich inwencja. Nikt nie wiedział co dalej...

Niezręczną sytuację przerwała wreszcie Sylwia podchodząc do „szefa” i kładąc obie ręce na połyskującym korpusie robota. Zamigotał w odpowiedzi seledynowym ekranikiem i zaczął niezdecydowanie kręcić się po sterowni. Drugi stał bez ruchu opodal drzwi, wykazując całkowity brak zainteresowania zaistniałą sytuacją, jakby do jego codziennych obowiązków należało odwiedzanie obcych statków z innych galaktyk.

— To jakiś cynik — szepnął Peterson i zaśmiał się sam ze swojego dowcipu, ale zostali nie podzielali jego dobrego humoru. „SzeF” przestał krążyć po sterowni i również utkwiał koło swego kolegi. Sytuacja stawała się coraz bardziej niezręczna, jak wtedy, gdy po latach rozłąki spotka się dwóch przyjaciół i po początkowym ożywieniu wkrótce nie bardzo wiedzą o czym rozmawiać, albo gdy świeżo przedstawiani sobie na jakimś

przyjęciu ludzie zostają pozostawieni sobie samym przez zagonionego gospodarza i po wstępnej wymianie grzeczności oraz uwag o stanie pogody, zalega między nimi kłopotliwe milczenie...

Migotanie lampki telefonu przyjął Cleve jak wybawienie; Jacob Ogilwu proponował swój „test na pochodzenie”, jak się wyraził. Cleve z radością przyjął jego propozycję i astronom natychmiast rozpoczął swoją projekcję.

Przybladły światła sterowni. Cały ogromny główny ekran zapłonął niezliczoną ilością gwiazd, małych i dużych, samotnych i zbitych w gromady, a wszystko to formowane na kształt monstrualnego, nieruchomego wiru. Po kilkunastu sekundach obraz zaczął rozszerzać się, skrajne pyły gwiazdne uciekały poza obręb ekranu. Galaktyka podpływała w stronę obserwatorów i miało się wrażenie mknięcia w jej stronę z nieprawdopodobną szybkością.

Równocześnie centrum wiru przesunęło się szybko w bok ekranu i uwaga obserwatorów została skoncentrowana w tym peryferyjnym rejonie Galaktyki, gdzie mikroskopijnym pyłkiem znaczyło się Słońce.

Już zaczęli rozróżniać najbliższe jego otoczenie — Canis Maioris, gwiazdozbiór Centaura, gwiazdę Bernarda, już i te znane i bliskie gwiazdy, odpływały na bok, a w środku ekranu królowała mała tarczka Słońca.

Kiedy najbliższa z gwiazd zniknęła z ekranu, wokół Słońca zaczął się wyłaniać kształt Układu. Zapłonął mdłym światłem Jowisz, po nim Saturn, a po chwili ukazały się pozostałe planety. Rosnące Słońce opuściło swój centralny punkt i potężniejąc uciekało w bok, a uwaga tym razem zwróciła się na Ziemię, małą jeszcze i bladą, ale już z nieodłącznym Księżycem. Ziemia rosła i rosła ustawicznie, już tylko była ona i Księżyc, potem została sama — potężna i niebieska na tle czerni Kosmosu.

Widać było lądy i oceany — ogromny globus zawieszony w Nieskończoności na niewidzialnej nici grawitacji. Ziemia nie była już kulą, stała się tarczą; obserwatorzy mieli wrażenie, że przekroczyli ten punkt, w którym odległość staje się wysokością. Cały prostokątny ekran był Ziemią — plamy lądów ożyły rysunkiem gór i rzek, a wszystko to mknęło w poprzek ekranu w coraz gwałtowniejszym pędzie. Potem pęd ustał, ląd pod nimi rósł tylko, stawał się coraz wyraźniejszy — zobaczyli lasy, wzgórza i jakąś rzekę, drzewa nad nią i łąkę. Pęd ustał — byli na łące. W dali płynęła niewielka rzeczka, a nad nią leżeli i opalali się w promieniach letniego słońca ludzie. Dwoje z nich — jakiś chłopiec i dziewczyna — wyszło akurat z wody i ze śmiechem zaczęło gonić się po łące. W końcu zdyszani i szczęśliwi wzięli się za ręce i zaczęli iść w stronę kamery. Byli piękni.

Na tym projekcja improwizowanego filmu zakończyła się. W jaki sposób Ogilwu w tak krótkim czasie zdołał zmontować tak sugestywny i skondensowany obraz, pozostanie jego tajemnicą. Trzeba przyznać, że udało mu się to znakomicie.

— Dziękuję, Jacob — powiedział Cleve cicho do mikrofonu.

— Głupstwo, mam nadzieję, że to dużo im wyjaśniło. Teraz musimy czekać na odpowiedź.

— Tak. Ciekawe, co oni nam pokażą...

Cała obecna w sterowni czwórka wlepiała wzrok w nieruchome roboty, sprawiające wrażenie, jakby do nich nic a nic, z zakończonej przed chwilą projekcji, nie dotarło.

MacDonald wraz ze swoimi automatami miał pod stałą kontrolą całe widmo, ale dotychczas nie stwierdził ani śladu jakiegokolwiek emisji. Pozostawało zagadką, czy i w jaki sposób oni porozumiewali się między sobą.

— Cleve, spójrz — szepnęła Sylwia, ciągnąc go równocześnie za rękę.

Górna część ściany zabudowanej urządzeniami sterowniczymi oraz fragment sufitu zniknęły przesłonięte idealnie okrągłą tarczą czerni. Na jej tle ukazał się identyczny jak poprzednio obraz Galaktyki, z tym, że teraz autorem jego nie był Jacob ani nikt z załogi „Miraxa”. Potężny wir słońc i obłoków pyłu międzygwiazdowego zaczął maleć, oddalać się, blednąć...

Tkwiał w środku czarnego kręgu coraz drobniejszy, już raczej do białej plamy, niż do rojowiska setek miliardów gwiazd podobny. Wtem, spoza brzegów koła czerni napłynęło kilka podobnych plamek, tworzących gromadę galaktyk. Zbiegały się ku środkowi, tworząc zespół punktów, świetlny przecinek, a nie zbiór galaktyk potwornych w swym ogromie.

Na obrzeżach czerni zaczęły wyskakiwać inne podobne grupki, coraz mniejsze i mniejsze, do punktów już tylko podobne, znacząc mrok cętkami jasności. Napływało ich coraz więcej i coraz mniejsze były, aż nagle dopływ ustał.

Obraz kurczył się jeszcze przez jakiś czas, lecz wokół rozmigotanego koła Wszechświata poszerzał się tylko pierścień czerni. Dalej nie było już nic. Obraz ustabilizował się płonąć tysiącami iskier gromad galaktyk.

Nie wiedzieli, co sądzić o tym seansie... Spoglądali po sobie i widać było, że każdy na coś jeszcze oczekuje.. Dotychczas nie dowiedzieli się niczego nowego, niczego, co nie byłoby na Ziemi znane każdemu uczniowi. Czyżby oni nie chcieli powiedzieć skąd pochodzą? A może te roboty po prostu tego nie wiedziały?

Ale nie! Coś się zmieniło na obrazie. W środku pierścienia czerni zapłonął zielony punkt, a obraz z powrotem zaczął pęcznieć. Iskry podpląnęły do intruza, ale nie pochłonęły go i nie porwały w swoim pędzie ku brzegom kręgu.

Tkwiał stale w tym samym miejscu, a gromady płynęły obok niego, rosnąc, stając się plamami, pękając na poszczególne galaktyki. Tych było coraz mniej w polu widzenia i coraz większe miały rozmiary. Już można było rozróżnić idealne kształty galaktyk eliptycznych, wspaniale gigantyczne spirale oraz strzępy galaktyk nieregularnych.

Wszystko to uciekało od środka, gdzie tkwił potężniejszy z momentu na moment

wir Galaktyki i szybko przepływało obok nieruchomego zielonego punktu, pędząc w stronę granicy czarnej tarczy i znikając za nią.

Już forpocząty skrajnych gwiazdek zaczęły opływać zielone migotanie, już potężna spirala opanowała cały krąg projekcyjny i nagle pęcznienie ustało.

Obraz był taki sam jak na początku, z jedynym wyjątkiem — przedtem nie było zielonego punktu.

— Jacob, co ty o tym sądzisz? — zapytał Cleve astronoma.

— Nie mam jeszcze żadnego zdania — dobiegło go ze słuchawki.

W tym momencie Cleve skarcił się sam za niecierpliwość, bo tam jeszcze coś się działo...

Zielony punkt zaczął rosnać, zmieniać się w tarczę, a tarcza przybrała na koniec kształt statku, z którego dwaj goście, stojący nieruchomo przed nimi przybyli przed godziną.

Aby nie było wątpliwości, obok niego ukazał się charakterystyczny kształt — świecący symbol „Miraxa”.

Wszystko to tkwiło jeszcze przez moment zawieszony w czerni pod sufitem sterowni, aż nagle zgasło i zaraz zniknął również czarny krąg, spełniający rolę ekranu projekcyjnego.

Nikt się nie odzywał; to co zobaczyli, po prostu nie miało sensu. Tak to odebrał Cleve, ale postanowił odwołać się do załogi...

— Kto chce zabrać głos?

Odpowiedzią była kompletna cisza. Wszyscy czuli to samo, ale nikt nie miał odwagi sformułować swojej opinii, licząc na to, że może coś ważnego przeoczył, czegoś nie zrozumiał...

W końcu nie wytrzymał Brox, a może jako najstarszy czuł się w obowiązku przerwać męczącą ciszę...

— Moja interpretacja zakończona przed chwilą pokazu jest następująca — oni przybywają spoza Wszechświata, to znaczy znikąd — a raczej nie przybywają znikąd, lecz to Wszechświat przybył do nich, zawieszonych w Nicości. Ponieważ przybywają znikąd, gdzie nie ma nikogo, kto mógłby ich skonstruować, z tego wynika jedyny logiczny wniosek — ich nie może być! Skoro jednak istnieją, to znaczy, że albo całe moje rozumowanie oparte na konkretnej interpretacji minionego spektaklu jest błędne, albo też roboty same nie wiedzą skąd się wzięły i jaki jest cel ich wyprawy.

— Tak... Myślę, że to samo odczuwa każdy z nas, profesorze. Dziękuję za wypowiedź.

— Tak nie można stawiać sprawy! — zawołała Sylwia. — To są wysoko zorganizowane istoty. Wprawdzie tylko roboty, ale stojące na bardzo wysokim stopniu rozwoju intelektualnego. Może nawet są wytworami ewolucji nieorganicznej... W każdym razie

nie możemy ich traktować jak... jak naszego Stephena, który potrafi roznosić napoje po kajutach i niewiele więcej. Ja... ja sądzę, że my ich nie zrozumieliśmy. Proponuję pokazać im naszą trasę na tle wycinka Galaktyki i „zapytać” ich, dokąd lecą.

— Dobrze. Jacob, rzuć jeszcze raz obraz Galaktyki, a ty będziesz pytała.

Znów zapłonęła mrowiem gwiazdnych iskier ogromna spirala. Ogilwu powiększył obraz rak, że na ekranie widać było po chwili tylko niewielki jej fragment — najbliższe otoczenie Słońca. Wtedy Sylwia świetlnym wskaźnikiem zaczęła wodzić tam i z powrotem między Słońcem a gwiazdą Bernarda.

Po kilku powtórzeniach zgasiła wskaźnik i poprosiła o zmniejszenie obrazu. Kiedy znów Galaktyka zajaśniała w całej krasie swego ogromu, podeszła do obydwu gości i wysuwając rękę ze wskaźnikiem w stronę „szefa”, drugą wskazywała na ekran.

Robot zdawał się rozumieć jej intencję, ujął podany mu wskaźnik lecz nie zrobił z niego użytku, za to na ekranie zapłonęła niezwykle powyginana linia, biegnąca od skraju wiru do punktu, w którym znajdowali się obecnie. W tym miejscu skomplikowana krzywa urywała się.

— Jacob, co oznacza ta linia? — zapytał Cleve.

— Nie wiem.

— Jak to nie wiesz. Przecież sam ją tam narzuciłeś.

— Ja? Ależ skąd!

— No to kto?

— Nic wiem.

— Kto narzucił tę linię?

Nikt się nie odzywał, więc następne pytanie wystosował już do łącznościowca...

— MacDonald, co to znaczy?

— Chwileczkę... Już mam. Impuls pochodzi z zewnątrz, od tego wyższego robota. Namierzyłem go. Rzutowany jest indukcyjnie, z wykorzystaniem naszego układu wzmacniającego i projekcyjnego.

— W takim razie to jest ich trajektoria... Sylwia, zapytaj o dalszą planowaną trasę.

Dziewczyna wyjęła wskaźnik z „łapy” robota i zaczęła wodzić promieniem światła wzdłuż powyginanej w polach grawitacyjnych poszczególnych gwiazd trasy. Wreszcie dobrnęła do punktu końcowego i zatrzymała się niezdecydowanie.

Tym razem na odpowiedź trzeba było czekać znacznie dłużej. Wreszcie z końcowego punktu trasy wyskoczyły dziesiątki wariantów dalszego jej biegu. Każdy z nich różnił się nieznacznie od innych, biegiły promieniście, równolegle, krzyżowały się ze sobą. Im dalej od punktu wyjściowego, tym szerzej rozkładał się wachlarz przyszłych tras, z których tylko jedna miała się spełnić.

— Oni nie wiedzą dokąd lecą — wyszeptała Sylwia.

— Tak, to nawet logiczne. Ktoś, kto przybywa znikąd, nie może zmierzać do jakie-

goś określonego celu — dobiegł Cleve'a głos Broxa. — Teraz wiemy o nich już wszystko, czyli nic.

— Tak... Profesor ma rację — pomyślał. Nie wiemy o nich absolutnie nie. Trzeba będzie spróbować innego rozwiązania, tego z Logokomem, które zaproponował MacDonald.

— Sylwio, teraz na ciebie kolej, bierz się za nich.

Dziewczyna poczuła, jak ją coś zaczyna dławić w gardle. W myśli przeklinała moment, w którym zgodziła się zastąpić hibernowanego cybernetyka, ale teraz już było za późno na refleksje; nadszedł czas działania.

Na miękkich nogach podeszła do Logokomu i włączyła dopływ prądu do wszystkich sekcji. Olbrzymi mózg ożył. rozjarzyły się wszystkie światła kontrolne i ekrany. Maszyna gotowa była służyć człowiekowi niedoścignioną wirtuozerią swych obliczeń, przepastną wiedzą wszystkich programów, w których zakodowana była nieomal cała wiedza ludzkości.

Stojące od dłuższego czasu nieruchomo roboty drgnęły i zbliżyły się do pulpity Logokomu. Na zmianę wznosiły się i opadały wykazując niezwykle zainteresowanie poszczególnymi sekcjami. Wreszcie uspokoiły się i stanęły nieruchomo przed głównym pulpitem.

Sylwia podniosła mikrofon i zwróciła się do maszyny:

— Cybernetyk do Logokomu. Sprawdzenie gotowości...

Zamiast stereotypowego potwierdzenia gotowości z głośnika popłynęły jakieś oderwane piski i zgrzyty, a światła kontrolne rozpoczęły obłądny kontredans rozbłysków. Wszystkie ekrany ożyły, ale to, co się na nich pokazywało na mgnienia i gasło jeszcze całkowicie nie ukształtowane, nie przypominało niczego ze znanych im obrazów.

Były tam ułamki krzywych, przenikające się wzajem płaszczyzny, bryły o kształtach niesłychanie wymyślnych. Wszystko to zapalało się, żyło ułamki sekund i znikało, by zrobić miejsce kształtom jeszcze dziwniejszym, jeszcze bardziej rozedrganym, jeszcze szybciej ginącym.

W trosce o stan Logokomu Cleve skoczył do wyłącznika i odciął dopływ prądu do aparatury.

W ostatnim ułamku sekundy przed wygaśnięciem wszystkich świateł rozległ się z głośnika przejmujący, wysoki krzyk, ni to skargi ni protestu i skonał cichym szepczeniem.

I wtedy stała się rzecz zdumiewająca — stojący spokojnie „szef” rzucił się do wyłącznika, odtrącił zdumionego dowódcę i swoją metalową łapą wcisnął go z powrotem.

Takiego obrotu sprawy chyba nikt się nie spodziewał i nikt też nie zareagował na incydent, jedynie milczący dotąd Peterson uniósł nieznacznie dłoń w uspokajającym geście.

On jeden zdawał się być zadowolony z gwałtownego odruchu robota.

Znów zapłonęły wszystkie kontrolki i ekrany, chwilę trwał podobny jak poprzednio chaos wyładowań, ale wnet wszystko się uspokoiło i rozległ się charakterystyczny głos maszyny:

— Logokom gotów...

Psycholog ujął mikrofon i zapytał...

— Co się z tobą dzieje? Dlaczego nie odpowiedziałeś na wezwanie cybernetyka?

— Nie wiem... Nie mogłem... Jakies zwarcia. Całkowity chwilowy rozpad funkcji.

Czuję, że mi podłączono wiele nowych programów, ale nie rozumiem ich... na razie.

— Czy poznałeś jakieś nowe wyrażenia, zwroty?

— Nie... Tak. Tak!

— Jakie?

— Człło... wiek... Dan... Dan.

Dan poderwał się jak rażony prądem...

— To oni! Weszli w kontakt z Logokodem. To na pewno oni!

— Uspokój się Dan, pozwól mi działać — psycholog położył mu rękę na ramieniu i rzucił do mikrofonu: — Powiedz im, że nasz statek nazywa się „Mirax” i pochodzi z planety Ziemia. Tylko tyle. Pamiętaj! Czekaj na odpowiedź.

Głośnik milczał, trwało to dosyć długo, tak długo, że zaczęli już wątpić w powodzenie eksperymentu, aż nagle głośnik zaczął sylabizować:

— Człowiek... Zie... mia. sta... tek... Mi... rax...

Wszystkie sekcje Logokomu pracowały pod pełnym obciążeniem. Widać było, że w środku maszyny trwa niezwykle intensywne przetwarzanie informacji. To, co doleciało do nich z głośnika, to były tylko końcowe efekty gigantycznej pracy, jaką wykonywała maszyna. Tam, w niezliczonych obwodach zanurzonych w płynnym helu, następowało kojarzenie dwóch absolutnie różnych systemów świadomości, których jedynym punktem styczonym, gruntem na którym mogły szukać wspólnego języka — była Materia.

Peterson zrozumiał, że dalsze interwencje ludzi w tok poznawania się dwóch światów nie mają na razie sensu. Włączeniem Logokomu wywołali lawinę, która nie ustanie, dopóki ostatni bit informacji nie zostanie przetworzony i wzajemnie zrozumiany. Tylko czy aby wzajemnie?...

Nie miał złudzeń co do wyższości cywilizacji reprezentowanej przez pingwinowate roboty i wiedział, że całe ogromne obszary ich wiedzy będą leżeć poza zasięgiem zrozumienia człowieka i jego „tłumacza”, jakim był Logokom.

Podszedł do Cleve'a i szeptem przekazał mu swoje uwagi na ten temat. Dowódca zgodził się z nim i gestem nakazał wszystkim zajęcie miejsc w fotelach.

Usiedli pod ścianą, bez słowa wpatrując się w stojące nieruchomo przed głównym

pulpitem roboty i w migające niezmordowanie światła Logokomu.

Lampka telefonu wzywała do zgłoszenia się. Ktoś z zewnątrz chciał rozmawiać z nimi...

— Tak...

— Tu MacDonald. Wykryłem połączenie między tymi dwoma robotami a Logokodem. Ma ono charakter indukcyjny. Znalazłem też modulowaną wiązkę neutrinową, łączącą ich ze swoim statkiem.

— Dziękuję, Mac. Zawiadomię wszystkich o tym, co mi powiedziałeś. ...A więc to tak — pomyślał Cleve. — Modulowanie sterowanej wiązki neutрино! Trzeba przyznać, że mają niezły kanał łączności... — Wstał i podzielił się wiadomością z pozostałymi osobami zespołu. Jedyne Peterson nie wyglądał na zdziwionego tą rewelacją, może dlatego, że jako humanista, nie potrafił docenić jej znaczenia.

Czekanie przedłużało się, gniotło monotonią ciekących powoli minut. Nic nie wskazywało, na to, że wzajemne dostrajanie się sztucznych mózgów, będących wytworami dwóch różnych cywilizacji, zbliża się ku końcowi. Proces ten mógł trwać nie wiadomo jak długo.

Cleve zaczął przemyślać, czy nie zostawić ich w spokoju i zwolnić ludzi, nie będących przecież w normalnej kondycji psychofizycznej, aby mogli zdrzemnąć się, zjeść coś, odpocząć, gdy nagle głośnik ożył...

— Logokom gotów do tłumaczenia. Jestem w stanie dwustronnej łączności z obecnymi tu przedstawicielami napotkanego statku oraz z jego mózgiem dyspozycyjnym. Oni są już dość dobrze zorientowani w stanie stosunków panujących pomiędzy statkiem, człowiekiem i mną. Chcą przekazać wam swoją historię. Pytają, czy jesteście zainteresowani...

— Odpowiedz, że jesteście bardzo zainteresowani — bez namysłu zawołał Cleve.

Dłuższą chwilę trwała pełna napięcia cisza; przerwał ją wreszcie głośnik Logokomu...

— Mówi do was dowódca sąsiedniego statku próżniowego. Chcę wam opowiedzieć historię naszej cywilizacji, której jesteśmy ostatnim ogniwem. Informacje, jakie otrzymacie w formie fonicznej, są końcowym efektem przetwarzania wielu impulsów oraz zmian nośników. Z tego powodu prawdopodobnie nie da się uniknąć potknięć logicznych i stylistycznych. W ostatecznej formie dźwiękowej wszystkie informacje formułowane są przez wasze urządzenie logiczne.

Zdajemy sobie sprawę z tego, że transformacja naszej wiedzy zdobytej w toku znacznie dłuższego rozwoju ewolucyjnego będzie rzeczą niezwykle trudną, gdyż posiadamy z pewnością nieporównywalne doświadczenia.

Z tego względu szereg zjawisk może być dla was niezrozumiałych i te nie dotrą do was, gdyż zostaną zatrzymane i wycofane przez układ kontrolny naszego mózgu, śle-

dzącego tempo transformacji w waszym Logokomie.

Wasz system przekazywania informacji pomiędzy osobnikami oparty jest głównie na dźwięku lub znaku będącym odpowiednikiem dźwięku. Z tego powodu nie będziemy mogli przekazać wam nazw, gdyż my nie posługujemy się dźwiękiem od czasu zakończenia biologicznej fazy naszej ewolucji i nasze nazwy są pojęciami nie dającymi się przetransformować na dźwięk. To jednak nie powinno być przeszkodą we wzajemnym zrozumieniu, bowiem nie nazwa decyduje o istocie rzeczy, ale to, co się za tą nazwą kryje.

Jesteście pierwszymi istotami, które spotykamy w naszej wędrówce, mimo iż Przestrzeń wypełniona jest milionami cywilizacji. Nie szukaliśmy ich dotychczas, choć wiemy jak je znaleźć...

Spotkanie z wami było przypadkowe, a jego prawdopodobieństwo praktycznie równe zeru. Ponieważ ono jednak nastąpiło — wykorzystajmy je.

W obrębie jednej z milionów galaktyk pędzących przez niezmierzone mroki Nieskończoności znajdował się okruch wodoru. Nie różnił się on zbyt od miliardów innych, podobnych mu drobin, utrzymywanych w ryzach przez przepotężną grawitację. Jeśli jednak zbliżyć się trochę do tego atomu, okazywał się on być potężną gwiazdą, zionącą milionokilometrowymi erupcjami wodorowego żaru, niszczącymi wszystko, cokolwiek znalazło się w ich zasięgu. Jak to zwykle bywa, wokół drobiny-giganta krążyło pełno wszelakiego śmiecia kosmicznego, bezładnymi chmurami kłębiły się ekskrementy gwiazd, zarówno przez waszą tak jak i przez naszą cywilizację nazwane nie wiedzieć dlaczego podstawowymi składnikami materii — pierwiastkami, podczas gdy każda cywilizacja, wcześniej czy później, dochodzi do tego samego, słusznego wniosku, że jedynym pierwiastkiem, w pełni zasługującym na tę nazwę, jest tylko wodór.

Cała ta brudna piana zdegenerowanego wodoru, tej szumowiny Kosmosu, nie mogła odplynieć na jakieś mgławicowe śmietnisko trzymana ciężeniem.

Tak to nawet najpiękniejsza forma istnienia — gwiazda — dusi się we własnych odchodach.

Ogromne chmury wzbierały wokół niej, łączyły się i rozpadały, tarły o siebie podczas tej wstrętnej, gigantycznej rui planetarnej, strzelając potężnymi wyładowaniami zdeorientowanych elektronów. Światło gwiazdy z trudem przebijało się przez tę kloakę ciężkich — pożałujcie Grawitacjo — pierwiastków. Ale w końcu brudy zebrały się w kilkanaście większych chmur, obiegających Gwiazdę po eliptycznych orbitach i wychwytyjących błędzące jeszcze gdzieśgdzie, samotne obłoki nieczystości, chłonąc je lub wiążąc pętami ciężenia i zmuszając do towarzyszenia sobie w ich własnym, nędznym bycie.

W miarę stygnięcia, chmury kurczyły się, rozżarzone atomy łączyły się w proste związki chemiczne, te znowu w bardziej skomplikowane. Kurcząc się twory otrzymywały coraz mniejsze ilości energii od Gwiazdy, która znów jaśniała pełnym blaskiem,

widoczna z najdalszych krańców galaktyki.

Kuliste śmietniska wychładzały się ciągle, gazy skraplały się w zetknięciu z kosmicznym mrozem górnych warstw atmosfery, padały nieustające deszcze, ale nim gorące krople zdążyły dolecieć do powierzchni już odparowały i wędrowały z powrotem w górę. Gorące kule snuły się w próżni odbijając blask Gwiazdy, świecąc fałszywym światłem, bo skradłszy jej najpierw kształt, usiłowały również jej blask przywłaszczyć sobie.

Jedna z nich, oddalona od Gwiazdy tak, że straszliwy żar wodorowych erupcji dotarłszy do niej wiele już tracił ze swej intensywności, ale jeszcze tak bliska, by nie dać się ściąć chłodom Wszechświata w bryłę zestalonych gazów, jedna z tych kropel-planet miała stać się w przyszłości naszą ojczyzną.

Na razie szalały tam nieustające burze w gęstej, skomplikowanej atmosferze. Na gładkim dotychczas obliczu półpłynnej planety pojawiły się pierwsze zmarszczki twardniejących kożuchów wszechobecnej magmy. Pękały przetapiane w nieskończoność, ale stygły, stygły, tworząc nieśmiało początkowo pierwociny łądów.

Pierwsze deszcze spadły na tę ziemię — nie ziemię i wyparowały natychmiast w zetknięciu z rozpaloną do czerwoności lawą. ale setne, tysięczne zbierały się w gorące kałuże nasyconych roztworów — naturalne laboratoria, wytwarzające coraz większe, coraz bardziej skomplikowane cząsteczki.

Krzepła skorupa planety, powiększały się powierzchnie łądów, a rozpadliny między nimi zaczęła wypełniać opuszczająca atmosferę woda.

Zmalało ciśnienie na powierzchni planety, bo otaczający ją ocean pary zamienił się w ocean wody. Spadła temperatura i przestały szaleć apokaliptyczne burze. Warunki na planecie zaczęły się stabilizować. Nasycone skomplikowanymi cząsteczkami związków chemicznych, ciepłe roztwory mórz stały się jeszcze jednym gigantycznym laboratorium, w którym cząsteczki łączyły się ze sobą, dając w efekcie inne, bardziej rozbudowane struktury.

Już setki atomów były połączone w jedną całość, już tysiące... Wtedy nastąpiła ta decydująca chwila, przekroczony został ten próg, za którym cząsteczka staje się mikroorganizmem, dobudowującym według znanego już sobie schematu drugą, analogiczną cząsteczkę. W tym miejscu zakończyła się pierwsza, fizyko-chemiczna faza ewolucji, a zaczęła druga, biologiczna.

Ewolucja w naszym rozumieniu tego określenia, nie zaczyna się w momencie powstania pierwszej, samopowielającej się drobiną białka i nie musi skończyć się z chwilą wyginięcia ostatniego żywego gatunku...

Niejeden z was, słuchających mojego wywodu będzie, być może, zdziwiony podobieństwem opisywanych przeze mnie wydarzeń do zrekonstruowanej przez was prehistorii waszej planety, Ziemi. Wiemy o tych analogiach, ponieważ cała wasza wiedza zawarta w pamięciach Logokomu, z którym jesteśmy sprzężeni, stała się równocześnie naszą wiedzą.

Nie miejcie nam za złe wtargnięcia w wasz świat, ale tylko w ten sposób mogliśmy, w tak krótkim czasie, skonstruować układ umożliwiający nam swobodną wymianę informacji. Otóż i wasza, i nasza planeta, mimo iż usytuowane w dwóch różnych galaktykach, powstały w sposób zupełnie podobny, bowiem jeden jest we Wszechświecie schemat narodzin... i śmierci planet.

Ale wróćmy do naszej cząsteczki — wirusa. Wisi sobie bezwładnie w gęstym roztworze i korzystając z energii rozrzutnej matki-Gwiazdy, wychwytuje odpowiadające mu mniejsze cząsteczki, ustawia je i mozolnie zlepia z tego budulca swoje kopie, odrzucając je potem do samodzielnego kopiowania, do życia.

Czasem zdarzy się, że któraś z wychwyconych cząsteczek ma nieco odmienną budowę od reszty, lecz zapracowany wirus nie zauważy maleńkiego defektu, użyje i tej do swojej konstrukcji, zmieni nieco kod. Odrzucona drobina jest już trochę innym organizmem i kopiować będzie siebie samą, a nie tamtą, która ją wydała. Tak rodzą się mutacje, odmiany, gatunki, tak tworzy się początek bogactwa żywych form. I znów powiecie, że podobnie było na Ziemi. Racja! Zarówno na waszej jak i na naszej pierwszej, ojczyściej, planecie życie powstało na bazie związków białkowych. Dziwne to? Nie tak bardzo, jakby się wydawało... Przebadaliśmy setki układów planetarnych w naszej rodzinnej galaktyce i znaleźliśmy w nich kilkadziesiąt planet, na których rozwinęło się życie.

Wszystkie organizmy oparte były na schemacie białkowym! Zapytacie, i będziecie mieli do tego prawo, czy nie może powstać żyjąca materia oparta na innym wzorze, na przykład na związkach krzemu?

Teoretycznie tak, ale myśmy jej nie spotkali, jak i nie spotkali jej przedstawiciele kilku wysoko rozwiniętych cywilizacji, z którymi w przeszłości, jeszcze przed rozpoczęciem naszej wędrówki, weszliśmy w kontakt.

Wybaczcie, wyprzedziłem bieg czasu o kilka miliardów lat, podczas których maleńki okruch życia przetworzył się w prymitywne wodne jednokomórkowce, z których z kolei rozwinęło się całe bogactwo żywych form, zamieszkujących morza i oceany naszej planety, nastąpił podział na idealnie uzupełniające się organizmy roślinne i zwierzęce.

Rośliny wyszły na ląd i rozpoczęły swoją gigantyczną pracę wiązania węgla, a uwalniania tlenu. Zwiększenie jego ilości w atmosferze pozwoliło na rozwój coraz bardziej wyspecjalizowanych zwierząt lądowych. Zmieniające się sporadycznie lub cyklicznie warunki życia zmuszały je do elastycznego przystosowania się, a kiedy to nie wystarczało — do lokalnego modyfikowania otoczenia. To były prapoczątki cywilizacji. Jeśli sklecone byle jak gniazdo dawało osłonę przed chłodem i opadami, to gatunek zatrzymywał się w rozwoju ewolucyjnym, ale gdy to nie wystarczało, zwierzę zmuszone było do szukania innych, lepszych rozwiązań. Ta sama zasada dotyczyła możliwości zdobywania pokarmu; jeśli był on łatwo osiągalny, to nasilenie zasadniczych przemian ewolucyjnych ulegało znacznemu spowolnieniu.

Największe szanse na stworzenie cywilizacji w pełnym tego słowa znaczeniu zawsze mają mutanty najgorzej pod względem fizycznym przystosowane do przeżycia. Swoją szansę znajdują one bowiem jedynie w rozwinięciu silnego ośrodka dyspozycyjnego, zdolnego do koordynacji celowego działania dla dobra organizmu. Tak było i na naszej planecie. Kilka gatunków wyższych zwierząt doszło do tego poziomu rozwoju ewolucyjnego, ponad którym zaczyna się zwykle lawinowy rozwój cywilizacji, ale tylko jeden zdołał tę cywilizację utworzyć. To byli nasi przodkowie.

Mimo, iż jesteście, jak wy to określicie — automatami, naszymi przodkami były istoty organiczne, bo jakże mogłyby być inaczej?

Zaczął się następny etap naszego rozwoju, etap poznawania otaczającego świata, a także etap nieustających walk wewnątrzgatunkowych, którymi zdeorientowana Natura chciała zastąpić odwieczne prawa doboru naturalnego. Na próżno. Już było za późno!

Już gatunek wymknął się spod władzy miliardoletnich praw, zaczął tworzyć prawa sam... Tak mu się przynajmniej zdawało. Cywilizacja rozwijała się jak burza!

Nasz gatunek zaraz na początku unicestwił potencjalnych konkurentów, potem wziął się za inne gatunki, niepoohamowany w swej rozrodczości i ekspansji, pozbawiony konkurentów...

Czyżby? Nie mając już naturalnych wrogów, sam stał się swoim wrogiem. To była zemsta oszukanej Natury! Coraz liczniejsze tłumy naszych przodków zamieszkiwały niefortunną planetę, miażdżoną miliardami odnóży, rytą coraz doskonalszymi narzędziami w poszukiwaniu bogactw ukrytych w głębi, gwałconą tysiącami wybuchów, zanieczyszczaną ekskrementami wynaturzającej się cywilizacji.

Masowo ginęły inne, „nierozumne” gatunki; nasi przodkowie zaczęli stawać się jedyymi władcami... i niewolnikami planety, która ich wydała.

Osiągnęli już wtedy takie stadium rozwoju, że mogli pokusić się o rozpoczęcie penetracji swojego Układu, początkowo w poszukiwaniu podobnych sobie istot, a gdy się okazało, że są samotni — o próby ekspansji wewnątrzukładowej. A czas już był najwyższy!

Maltretowana planeta zatraciła swe zdolności regeneracyjne i rozpoczął się długotrwały proces jej umierania, mimo iż barbarzyńcy wreszcie przejrzeni na oczy i czynili coraz bardziej rozpaczliwe próby jej ratowania, ratowania samych siebie.

I tak już trudną sytuację komplikował jeszcze fakt, że Gwiazda, ten zdawałoby się niewyczerpalny stos energii, w każdej sekundzie spalający ogromne ilości wodoru, zaczęła tracić swój miliardoletni, stwórczy blask. Coraz mniejsze ilości energii dopływały do Planety, coraz częstsze były srogi, długie zimy, coraz mniej roślin kiełkowało z wychładzającego się gruntu.

Mieszkańcy wiedzieli, że muszą szukać nowego domu, położonego bliżej matki — Gwiazdy.

Mijały tysiące lat, bo tysiące lat trwała agonia planety. W tym czasie nasi przodkowie zdołali doskonale rozwinąć komunikację wewnątrzukładową i przystosowali sąsiednią planetę do zamieszkania.

Musieli dokonać bezprzykładowych prac, by stworzyć namiastkę tego, co stracili.

Wreszcie wszyscy przenieśli się na tę drugą planetę, ale to nie była już ich ojczyzna. Czuli to każdym atomem swoich ciał. Tamta, prawdziwa, płynęła majestatycznie na tle gwiazdzistego nieba, pusta i martwa. Z nowej perspektywy nie różniła się wcale od mrowia gwiazd. Stąd nie widać było zniszczeń, jakie na niej poczynili.

Zabrali ze sobą to, co mieli najcenniejsze — pamiątki, dzieła sztuki od najprymitywniejszych do najbardziej wyrafinowanych, zaklęte w zapisach obrazy swoich siedzib, monumentów, zabytków i pejzaży, mumie dawno wymarłych zwierząt, trochę nasion pospolitych roślin i wielki, ogromny żal za utraconą ojczyznę, której śmierć sami wydatnie przyspieszyli.

W tym samym czasie zaczęli konstruować coraz doskonalsze, wyspecjalizowane aparaty służące im pomocą w zdobywaniu Przestrzeni i zagospodarowywaniu Układu. Nie wiedząc jeszcze o tym, kładli fundamenty pod trzecie stadium ewolucji — ewolucję mechaniczną. Wyposażali te maszyny w coraz doskonalsze analizatory, konstruowane na wzór ich niedościgłych — jak im się zdawało — mózgów. Maszyny te przejmowały coraz większe obszary działalności naszych organicznych przodków, były szybsze, mniej wymagające, bardziej niezawodne, mogły pracować w skrajnie trudnych warunkach, gdzie żywe istoty nie tylko nie mogłyby pracować wydajnie, ale nawet egzystować.

Niektóre z nich stawały się jakby dodatkowymi, zewnętrznymi narządami, zwiększającymi zdolności manewrowe, szybkość analiz i reakcji, precyzję i trafność osądów.

Zaczęto też stosować protezy niektórych zdefektowanych albo mało wydajnych organów wewnętrznych, najpierw sporadycznie, a później coraz bardziej masowo. Niektóre najczęściej odmawiające posłuszeństwa po prostu zastępowano niezawodnymi protezami mechanicznymi.

Powoli lecz systematycznie przejmowały one wiele funkcji organizmu, przedłużając i uaktywniając życie skazanych na unicestwienie.

Dysponując coraz potężniejszymi środkami i coraz szerszą wiedzą, przodkowie nasi pokusili się o próbę penetracji najbliższego otoczenia swojej Gwiazdy. Były to początkowo wyłącznie nieorganiczne, trwające latami wyprawy, w czasie których całość obowiązków związanych z prowadzeniem lotu i badaniami odkrywanych układów spadała na urządzenia automatyczne.

To była dla nas znakomita szkoła! Tak kalkulować, tak postępować, aby nie tylko wykonać powierzone nam przez naszych żywych stwórców zadanie, ale także aby nie dać się zniszczyć.

W toku tych niebezpiecznych wypraw zaczęło się tworzyć w naszych nieorganicznych przodkach coś na kształt instynktu samozachowawczego. Powstawały też i inne, typowe dla organizmów żywych uczucia — przywiązane do miejsca powstania, to znaczy do planety i związana z tym nostalgia.

Te w rzeczy samej prymitywne jeszcze maszyny inteligentne przejmowały, krok po kroku, psychiczne cechy swoich konstruktorów, ich zalety i wady. Zaczęły stawać się, jakże jeszcze uproszczonymi kopiami swoich panów.

W czasie długich wypraw do sąsiednich układów automaty spotykały się z zaskakującymi sytuacjami i warunkami, których nie byli w stanie przewidzieć najgenialniejsi konstruktorzy.

Zdane na własne siły i pomysłowość usiłowały sprostać tym nieprzewidzianym przeciwnościom, tworząc zupełnie nowe konstrukcje robotyczne. I zdarzało się, że wracający z kilkuletniej wyprawy gwiazdnej statek przywoził na swym pokładzie oprócz bezcennych okazów mineralogicznych, oprócz fauny i flory, oprócz utrwalonych krajobrazów odległych planet także zupełnie nowe, nieznanne roboty i automaty, wyspecjalizowane do wykonywania najbardziej skomplikowanych zadań w najtrudniejszych warunkach.

Za pierwszym razem było to olbrzymim zaskoczeniem dla naszych organicznych przodków, ale potem stało się regułą, że każdy wracający z gwiazd statek przywoził dziesiątki nowych, zadziwiających konstrukcji. Gdyby jakaś wyprawa wróciła bez nich, uważano by ją w połowie za nieudaną!

Tak to na galaktycznych szlakach automatycznych wypraw rozpoczynała się nowa, trzecia faza ewolucji — faza mechaniczna.

Wreszcie któraś z rzędu wyprawa pozaukładowa wystartowała z żywą załogą na przetarte przez automaty trasy. I znów, jak przed milionami lat z planety na planetę, tak tym razem z układu do układu przeniesione zostało ziarno życia. Wysłannicy naszych przodków dzięki automatom wiedzieli już, co tam znajdują. Cel wyprawy był jasny i określony — przygotować co najmniej dwa różne punkty, w dwóch różnych, pobliskich układach, w których byłaby możliwość kontynuacji istnienia gatunku na wypadek katastrofy.

A tragedia zbliżała się nieuchronnie! Płonąca od miliardów lat zamierającym blaskiem Gwiazda — rodzicielka miała stać się Nową.

Wiedzieli o tym od dawna, wiedzieli kiedy to ma nastąpić, bo ich kosmologia stała już na bardzo wysokim poziomie. Wiedzieli także, że wszyscy nie zdołają się uratować, tak jak nie zdołali przetransportować większości podczas pierwszego exodusu. Ale wtedy była inna sytuacja; planeta umierała powoli, każdy kto chciał mógł ją opuścić. Jednak ogromna większość nie chciała, wierna jej do końca.

Wtedy nie było tragicznego przymusu — teraz stał się on faktem. Katastrofa miała

nastąpić nagle. Nie było mowy o uratowaniu ogromnej większości. Rozpoczęto drastyczne ograniczenia rozrodczości; tego, kto się nie urodzi, nie będzie potrzebny ewakuować. W ciągu dwóch pokoleń liczba mieszkańców zmalała czterokrotnie. Ale i to było o wiele za dużo w stosunku do możliwości transportu.

A Gwiazda groziła w każdej chwili wybuchem. Zaczęła się niezwykle ścisła selekcja wyjeżdżających. Panika ogarnęła wszystkich bez wyjątku. Nastąpił kompletny upadek moralności. Życie, czyjeś życie, przestało znaczyć cokolwiek. Mnożyły się zbrodnie.

Każdy zamordowany zwiększał szansę mordercy na uratowanie. Zniknęła miłość, przyjaźń, życzliwość. Ojciec czyhał na życie syna, by zająć jego miejsce w rakiecie. Córka zabijała matkę, brat — siostrę, przyjaciel — byłego przyjaciela.

Planeta zaczęła gwałtownie pustoszeć, i gdy ostatni statek wypełniony po brzegi wielokrotnymi mordercami wzbiał się w przestworza, na planecie nie pozostał nikt żywy. Zwały rozkładających się trupów zalegały ogromne obszary i tym wyższe były, im bliżej astroportu, skąd wystartowała ostatnia rakietka.

Westchnęła matka — Gwiazda i otuliła swym nowym oczyszczającym żarem wszystkie swoje dzieci-planety i całe to monstrualne pobojowisko, wraz z uciekającym ostatnim statkiem.

Wszyscy, niezliczone ofiary i ich mordercy, zjednoczyli się z nią na moment załśniwszy najczystszy blaskiem i odlecieli w dal, czysti i swobodni w mgławicowym pyłe.

W sąsiednich układach po latach dostrzeżono Nową, błysnęła i zgasła jak bańka mydlana, krótkotrwały rozbłysk gwiazdy, która nie chciała się pogodzić z długotrwałym umieraniem...

Ostatni rozbitkowie docierali do swych nowych baz wtedy, gdy z ich obu poprzednich planet pozostały tylko wyżarzone martwe globy, kosmiczne truchła utrzymywane w jakim takim ładzie słabnącą grawitacją karykatury wspaniałej ongiś Gwiazdy.

Nie służyły jednak rozbitkom nowe planety. Jeśli na jednej, po szoku wywołanym Wielką Ucieczką, życie powoli zaczęło wracać do normy, to na drugiej gatunek zaczął się systematycznie degenerować, cywilizacja upadała coraz gwałtowniej i w końcu hordy zwyrodniałych osobników włóczyły się tu i tam, niszcząc wszystko, co tylko ocalało z katastrofy.

Mrowie złośliwych bakterii dopełniło dzieła zniszczenia i w krótkim czasie wyginęli wszyscy uratowani z pożaru Nowej. W ruinach świeżo wzniesionych osiedli hulał wiatr i walały się skorodowane wraki precyzyjnych automatów, których nie miał kto naprawić i konserwować.

Zaniepokojeni milczeniem ziomków przybyli wysłannicy drugiej grupy rozbitków, osiadłej w sąsiednim układzie; zastali już tylko szkielety i wraki. Wrócili do siebie zabierając najcenniejsze z ocalałych pamiątek. Taki był koniec Wielkiej Ucieczki.

Ocalałe resztki liczego niedawno społeczeństwa, przeszczepione na grunt gościnnej

planety przyjęły się i zaczęły budować jeszcze raz, trzecią już cywilizację.

Dziwna to była cywilizacja, dwukanałowa, o ile można to tak określić. Jednym nurtem płynęła cywilizacja towarzysząca ewolucji biologicznej, a drugim, równoległym, cywilizacja nieorganiczna.

Ta druga w zasadzie była kontrolowana przez pierwszą, ale, w wyniku długotrwałego zastępowania niektórych organów sztucznymi odpowiednikami, coraz bardziej zaczęła się zacierać różnica pomiędzy organizmem żywym a organizmem mechanicznym.

W końcu niektóre osobniki nie potrafiły już dać definitywnej odpowiedzi na pytanie kim są — jeszcze białkowym, czy już nieorganicznym produktem ewolucji. W tym punkcie oba nurty cywilizacyjne zaczęły się mieszać, łączyć, przenikać i wkrótce już wytworzyła się jedna, rozkwitająca z dnia na dzień, potężna cywilizacja postbiologiczna.

Resztki żywych intelektów zaczęły uciekać od swych nietrwałych białkowych powłok. Porzucali swoje ciała, bowiem otwierała się przed nimi możliwość zrealizowania odwiecznego marzenia wszystkich żywych, myślących organizmów — uzyskania nieśmiertelności. Marzenie to mogło się ziścić tylko przez odrzucenie swojego ułomnego ciała, przez jego śmierć.

Kiedy umarł ostatni z potomków uczestników Wielkiej Ucieczki, zakończyła się definitywnie biologiczna faza ewolucji.

Teraz pozostały na placu boju o przetrwanie już tylko organizmy będące produktami ewolucji mechanicznej. Mówiący do was te słowa jest ich bezpośrednią kontynuacją.

Zbudowane z najwytrzymalszych materiałów, zabezpieczone przed skrajnie trudnymi warunkami środowiskowymi homeostaty mogły rozprzestrzeniać się prawie dowolnie po galaktyce, a nawet, praktycznie nieśmiertelne, próbować ekspansji do innych galaktyk, co też czyniły. W swoich rozlicznych podróżach odkryły szereg innych cywilizacji, znajdujących się na różnych etapach rozwoju — od najniższych, aż do porównywalnych ze swoją. Pozbawiony ułomnego ciała intelekt wznosił się na wyżyny niewyobrażalne. Powstawały dzieła tak wspaniałe, jakich trudno byłoby się doszukać w całej galaktyce, a może nawet we Wszechświecie.

A Wszechświat dawno zakończył już był swoją fazę ekspansji i galaktyki, nieustannie przyspieszając swój bieg, wracały z powrotem do punktu wyjścia, który opuściły przed dziesiątkami miliardów lat.

Już pierwsze gromady galaktyk docierały do zaczarowanego horyzontu zdarzeń i znikwały za nim bez śladu. Biliony obumarłych gwiazd ze swoimi planetami-widmami oraz mgławicowe zbiorowiska wszelakiego kosmicznego śmiecia dążyły w radosnym pędzie śmierci tam, gdzie miały się odrodzić w Przenajwiększym Wybuchu kolejnego paroksyzmu, gdzie zimne truchła planet o zestalonych atmosferach, ruiny miast i świątyń, nieruchome oceany i zerodowane lądy, cementarzyska najrozmaitszych stworzeń,

pomniki kultów nieprzeliczonych — miłości i nienawiści, ascezy i żądz, resztki tego wszystkiego, co było kiedyś szanowane, piękne i pożądane pędziły do miejsca ostatecznego końca — miejsca nowego Początku, aby znów odrodzić się w postaci najczystsze- go wodorowego żaru.

Monstrualny kolaps pochłaniał coraz większe ilości galaktyk, litościwym płaszczem okrywał wypalone trupy gwiazd i ich dzieci — planet.

Na naszej planecie doskonale zdawano sobie sprawę z tego, co nas czeka, jaki los jest nam i całemu Wszechświatowi przeznaczony: wrócić tam, gdzie wszystko się kiedyś zaczęło, oczyścić się w kolejnym paroksyźmie, by znów, po miliardach lat, zaczęło kiełkować nowe życie.

Wiedzieliśmy o tym, uznawaliśmy konieczność ostatecznego kolapsu, ale równocześnie nie chcieliśmy się zgodzić z tym, że wszystko, co wytworzyli nasi organiczni przodkowie na Pierwszej Planecie, tym rajy naszej cywilizacji, z takim trudem przetransportowane w czasie Pierwszej Emigracji, wspaniałe dzieła z drugiego okresu rozwoju, na równi z poprzednimi uratowane od pożaru Nowej kosztem tysięcy istnień, wreszcie wyrafinowane twory kultury postbiologicznej stworzone już tam, na miejscu, że cały ten kolosalny dorobek niezwykle starej cywilizacji zostanie rozdrobniony na podstawowe cząstki i upakowany w nieogarnionym kłębowisku hipergęstej materii, która kiedyś była naszym Wszechświatem.

Zgadzaaliśmy się z tym, że my powinniśmy zginąć, ale buntowaliśmy się przeciwko zniszczeniu naszego dorobku, który ceniliśmy wyżej od nas samych.

Coraz nowe gromady galaktyk znikwały w odmętach Wszechkolapsu; pusto zaczynało się robić wokół nas. Przed nami była nicość, a za nami nie było już niczego... Po bezgwiezdny niebie coraz szybciej pędziły niedobitki Kosmosu i znikwały za parawanem horyzontu zdarzeń, skąd już nie było innego powrotu, jak tylko w postaci płonących kul wodorowych.

Jak uratować swój dorobek przed tym, co nieuchronne? Zadanie zdawałoby się niewykonalne, ale nie dla tak rozwiniętej cywilizacji jak nasza, w niemowlęctwie wręcz uratowanej z pożogi Nowej.

W rekordowo krótkim czasie zbudowaliśmy ten oto statek, z którego do was przybywamy i zapełniliśmy go tym, co było dla nas najcenniejsze.

Znajdziecie tam archaiczne kamienne narzędzia naszych zwierzokształtnych przodków, prymitywne ozdoby, pokracczne rzeźby i malunki raczkującego intelektu, niezliczone okazy surowych lub wymyślnie inkrustowanych przyrządów służących do zabijania, a pochodzących z wczesnej epoki barbarzyństwa, kolekcje wspaniałych dzieł sztuki z okresu przed Wielką Przeprowadzką, ponure wizje artystów okresu schyłkowego, cyzelowane do absurdu dzieła twórców z Drugiej Planety, krzyczące protestem najgłośniejszym, nieuchronnością losu bezrozumnego — nieliczne okazy z czasów przed

wybuchem Nowej, proste, wzruszające w swej naiwności próby pierwszych twórców sztuki nieorganicznej i wreszcie ocean już niezmierny płodów rozumu i sztuki z czasów największego rozkwitu ewolucji mechanicznej.

Statek nasz — to ogromne kosmiczne muzeum sztuki i techniki. Aby mogło ono bezpiecznie przeczekać czas Wielkiego Wybuchu i służyć następnej cywilizacji, która miała być kontynuacją naszej, obsadzony został załogą składającą się z wylosowanych przedstawicieli naszego społeczeństwa, mających stać się konstruktorami — protoplastami nowego gatunku nieorganicznych istot, kontynuatorów przebrzmiałej cywilizacji.

Wystartowaliśmy w ostatniej chwili, żegnani przez tych, co zostawali, by wkrótce wejść w sferę, z której nie ma już powrotu. Stale zwiększając szybkość uciekaliśmy do nikąd, a za nami zostały ostatnie widoczne jeszcze galaktyki. Kolejno wpadały one do tego tygła, z którego już żadna informacja nie wypływa i znikają z naszych ekranów. I wreszcie nadszedł taki moment, gdy i nasza zniknęła jak zdmuchnięty błady ognik. Wiedzieliśmy, że nasi bracia są jeszcze tam, za kurtyną horyzontu zdarzeń, ale zarówno oni dla nas, jak i my dla nich przestaliśmy już istnieć. W krótkim czasie zniknęły ostatnie niedobitki dumnych niegdyś galaktyk i zostaliśmy w idealnie ciemnej przestrzeni — sami. Nie było gwiazd, mgławic — nie było niczego. Jedynym istniejącym punktem był nasz, pędzący do nikąd, a tym samym nieruchomy statek, wokół którego rozciągała się Nieskończoność.

Zadaniem naszym było przeczekać mający nastąpić paroksyzm, zawrócić, i po utworzeniu się nowego, ekspandującego Wszechświata — włączyć się do niego, by w którejś z nowoutworzonych galaktyk założyć nową cywilizację, nie czekając aż w jakiejś kałuży powstanie samopowielająca się cząsteczka białka...

Pędziliśmy przez mrok nie robiąc nic, wyłączając się z egzystencji na całe miliony lat, bowiem nie mogło się nam nic przydarzyć. Nie mogliśmy się zderzyć z zabłąkanym rojem meteorytów, bo oprócz nas nie było nigdzie ani jednego atomu; cała materia Wszechświata została tam, z tyłu, tłamsząc się wzajemnie.

Całkowita bezczynność, kompletna izolacja i brak określonych perspektyw działały szkodliwie na załogę. Co pewien czas ktoś znikał w czeluściach ogromnego statku, a gdy po długotrwałych poszukiwaniach udawało się go odnaleźć wciśniętego w jakiś kąt, okazywało się, że sam zakończył swoją drogę, nie mogąc znieść dławiącego poczucia beznadziejności. Powoli, powoli statek pustoszał. Nie byliśmy w stanie zapobiec epidemii samounicestwień...

I wreszcie przyszedł moment, w którym według naszych obliczeń miał nastąpić nowy paroksyzm. Zawróciliśmy na spotkanie płonących kawałków odrodzonego wodoru formującego się w galaktyki, w gwiazdy, w coraz bardziej skomplikowane atomy cięższych pierwiastków. Wiedzieliśmy, że to wszystko już się tworzy, już pędzi ku nam, ale jeszcze nie mieliśmy pewności, bo jeszcze żadna informacja stamtąd do nas nie dobiegła.

Aż nagle obudziły się uśpione od prawieków urządzenia alarmowe; fala pędzących fotonów dobiegła wreszcie i do nas, gnających jej na spotkanie. Oslepiający błysk przesyłał odwieczną gęstwinę idealnej czerni. Zaczęło się! Znowu...

Czoło informacji pędziło dalej głosząc Nieskończoności radosną wiadomość o narodzinach nowego Wszechświata.

Dla nas, gnających na spotkanie wolniejszym od światła załączkom galaktyk, zaczęły się nowe czasy. Nieliczna już załoga ożywiła się i zaczęła dokonywać obserwacji, jakich, być może, nikt nigdy dotychczas nie robił i w przyszłości robić nie będzie, obserwacji Początku.

Zaczęły też napływać refleksje... A może nie jesteśmy jedynymi, którzy uciekli przed Wszechkolapsem? Może takich statków są tysiące? Na te pytania nie potrafiliśmy sobie dać odpowiedzi i chyba nigdy nie będziemy jej znać... Potężny twór przed nami pęczniał, rozpadał się na krótkotrwałe formacje, które kłębiły się w gigantycznych wirach, łączyły między sobą, stabilizowały w gromady galaktyk i rosły, rosły zajmując już prawie połowę nieboskłonu.

Nikt z nas już nie odbierał sobie istnienia, bo nadchodził czas działania. Pełniliśmy już stałe dyżury nawigacyjne, nie zdając się na automaty.

Z pewnością wyda się wam to śmieszne, że automaty, za jakie nas uważacie, posługują się innymi automatami. Nie ma w tym nic dziwnego gdy przyjąć, że progiem istnienia pozaautomatycznego jest zdolność myślenia abstrakcyjnego.

Nasze automaty zdolności tej nie posiadają.

Przyszedł taki czas, gdy pierwsze strzępy Wielkiego Wybuchu zaczęły przepływać obok nas; nowy Wszechświat zbliżał się do nas, a my zbliżaliśmy się do niego. Po raz drugi staliśmy się jego częścią.

Mieliśmy wejść w jakąś odpowiednią galaktykę, najlepiej spiralną, i próbować znaleźć tam coś dla nas odpowiedniego. Ale mijające nas obiekty były jeszcze bardzo młodymi tworam, gwiazdy dopiero stabilizowały się z potężnych kłaków mgławicowego wodoru — O planetach nie było jeszcze co marzyć. Trzeba było czekać.

Czekaliśmy, bo cóż dla nas znaczy czas? Nic, skoro możemy wymieniać wszystkie zużyte fragmenty swego mechano-organizmu, bez zmiany osobowości, jeszcze miliard, dwa miliardy lat? To błahostka w porównaniu z tym, co już było za nami.

Aby nie przebić na wylot sferycznego pierścienia nowego Universum i nie wejść w ogromniejącą z każdym mgnieniem Pustość Wewnętrzną, co postawiłoby nas wobec konieczności doganiania uciekających przeciwległych gromad, postanowiliśmy zawrócić i zrównać swoją prędkość z dojrzewającymi w pędzie wirami. Uczepiliśmy się najbliższej gromady galaktyk i z nią związaliśmy swój los, śledząc jej rozwój.

Kiedy z chmur wszelakiego gwiazdnego śmiecia powstały planety i jeły obiegać swoje gwiazdy — rodzicielki, kiedy ostygły tworząc kozuchy łądów zdolnych do udźwignięcia

ciężaru cywilizacji, kiedy wreszcie mogliśmy przystąpić do realizacji zadania wyznaczonego nam przez umierające społeczeństwo z poprzedniego paroksyzmu — wtedy, właśnie wtedy przysłała po raz wtóry fala zwątpienia.

Nowe planety, piękne świeżością nieskalaną zaczęły pokrywać się kobiercami roślin, w morzach błękitnych pieniało się życie, delikatne jeszcze jak mgiełka, lecz już potężne siłą biologicznego istnienia, niepohamowane w swej żądzy kontynuacji. I gdzież tam było miejsce dla nas, miliardoletnich starców zbrojnych wyrachowanym intelektem i tytanowym pancernem obudowy, przybywających ze świata, którego już nie było?

Znowu zaczęły się ucieczki w Niebyt, coraz bardziej pusto robiło się na statku. W końcu postanowiliśmy spróbować jeszcze raz. Weszliśmy już tylko w piątkę w skraj tego wiru, który wy nazywacie Drogą Mleczną i wnet spotkaliśmy was, przedstawicieli cywilizacji kolejnego paroksyzmu. Resztę znacie.

Głośnik Logokomu ucichł i głucha cisza zaległa sterownię. To, co usłyszeli, było tak zdumiewające, że przez dłuższą chwilę nikt nie mógł zdobyć się na żadne sensowne zdanie. Wreszcie przeciągające się milczenie przerwała poczuwająca się do obowiązku utrzymywania nawiązanego kontaktu Sylwia.

— Tak... Czy możemy zadać wam parę pytań?

— Czekamy na nie.

— To dobrze. To świetnie... A więc może powiecie nam, jak to jest z tymi kolejnymi paroksyzmami Wszechświata. Ile ich już było i jaka jest ich częstotliwość?

— Na pierwszą część pytania nie potrafimy odpowiedzieć, bo sami nie wiemy. Znamy tylko ten, z którego pochodzi nasza cywilizacja i następujący po nim, wasz paroksyzm. Jeśli ten, w którym powstałicie, nazwiecie zerowym, to nasz był minus pierwszym. Ile ich było przed nami i ile będzie po nas? Może nieskończona ilość... a może pulsująca postać Wszechświata jest tylko jedną z form jego ewolucji. To jest jedyne zagadnienie, którego nasza cywilizacja nie zdołała do końca rozwiązać.

Jeśli chodzi o częstotliwość, to przy obecnym stanie waszej wiedzy możecie już sobie sami na to pytanie, w miarę dokładnie, odpowiedzieć.

Sylwia czuła, że następnego sensownego pytania nie potrafi już sformułować. No bo o co można zapytać istoty, które wiedzą prawie wszystko?... Z kłopotliwej sytuacji wybawił ją psycholog.

— Nie znając zakresu waszej wiedzy, nie wiemy jakie wam zadawać pytania. Może lepiej będzie jeśli wy, dokładnie zorientowani w stopniu naszego rozwoju, przekażecie nam te fragmenty swojego dorobku, które uznacie za przydatne dla nas, a które mogłyby szybko dźwignąć naszą cywilizację.

Tym razem długo milczał głośnik, nim wreszcie padła wyważona odpowiedź.

— Tak. Dzięki Logokomowi znamy dość dokładnie poziom waszej wiedzy i uważa-

my, że jest on nieproporcjonalnie wysoki w stosunku do stopnia rozwoju ewolucyjnego. Doszliśmy do wniosku, że każda następna dawka wiadomości mogłaby wam przynieść tylko szkodę, a nie pożytek. Nie wolno bowiem igrać z wiedzą! Musi ona być zdobywana w trudzie zmieniającym również jej odkrywców, a wtedy dopiero może być prawidłowo wykorzystana. Każda „darowizna” osiągnięć intelektu mści się na nierozważnie nią obdarowanych; jesteście szczęśliwi, że macie jeszcze tak wiele do odkrycia. Nie miejcie nam tego za złe, ale nie chcemy waszego nieszczęścia.

Mając to na uwadze opisywaliśmy swoją historię nie dodając ani jednego pojęcia do już wam znanych. Dzięki temu nie mamy sobie nic do zarzucenia.

Gdybyście mieli jednak jakieś problemy czysto techniczne do pilnego rozwiązania, jakieś sprawy awaryjne, to w tym wypadku możemy wam pomóc.

— Na szczęście nie mamy takich potrzeb. Nasza wyprawa do układu Bernarda przebiegała bez najmniejszych zakłóceń, jeśli nie liczyć nieszczęśliwego wypadku profesora Nakamury — odpowiedział Cleve.

— Tak. Wiemy o powodzeniu wyprawy, ale o żadnym wypadku nie ma nic w pamięciach Logokomu. Odpowiedzcie szerzej o tym zdarzeniu.

— Kim, opowiadaj. Ty byłeś przy tym.

— Ja? Tak... tak. Oczywiście. — Inżynier pokładowy był wyraźnie zakłopotany tym niespodziewanym wezwaniem do dialogu z głośnikiem. Ci, w środku, już zdołali się jako tako przyzwyczaić do tej niezwyklej sytuacji, lecz cała reszta na zewnątrz sterowni oglądała to wszystko trochę jak jakiś kiepski film fantastyczny — nie wczuwając się w sytuację.

Głos dowódcy wyrwał go z odrętwienia i zdarzenie sprzed trzech lat, świeże jakby to było wczoraj, stanęło mu przed oczami...

— To było już po zakończeniu oficjalnego programu badań. Profesor poprosił mnie, abym mu towarzyszył w krótkiej przechadzce do pobliskiego wąwozu, utworzonego przez rozsunięcie się skał, pewnie podczas ruchów tektonicznych. Na gładkich ścianach parowu doskonale było widać tysiące dawno wymarłych, skamieniałych morskich organizmów. Najciekawsze z nich chciał profesor wydobyć ze skały i zabrać na Ziemię, jako pamiątkę dla swojego syna, znanego paleontologa.

W czasie pracy oderwał się głąz wiszący nad nami i spadając ugodził profesora w głowę. Gdyby nie hełm skafandra, zginąłby na miejscu.

Udało mi się uszczelnić pęknięcie skafandra i przetransportować ранego do statku.

Niestety, wszelkie próby przywrócenia mu świadomości nie dały rezultatu i zdecydowaliśmy się go hibernować w stanie niemalże agonialnym.

Może na Ziemi uda się specjalistom neurochirurgii przywrócić go do życia...

— Profesor Nakamura — dorzucił Cleve — jest światowej sławy cybernetykiem i głównym konstruktorem Logokomu.

— A ja powiedziałbym: był cybernetykiem, ponieważ prawdopodobieństwo uratowania tak drastycznie uszkodzonego mózgu jest, moim zdaniem, równe zeru — dodał psycholog.

— A co sądzą o tym wasi specjaliści, bo wydaje mi się, że jeszcze głosu nie zabierali — padło z głośnika.

— Rzeczywiście. Mary, wypowiedz się.

— Jako lekarz uważam, że sytuacja chorego jest niezwykle krytyczna, ale nigdy nie należy tracić nadziei...

— Z tego wnosimy, że szanse profesora są znikome. Jeśli wyrażicie na to zgodę, możemy wyekstrahować mózg chorego i wejść w dialog z jego osobowością.

Było to tak zaskakujące, że nie znalazł się nikt zdolny do natychmiastowej odpowiedzi. Pierwszy opamiętał się Peterson i zapytał:

— A jakie będą dalsze możliwości tej odcieleśnionej osobowości?

— Będzie mogła pozostać w naszym systemie lub wrócić z powrotem do swojego mózgu. W zależności od własnego wyboru.

— Bez żadnych zniekształceń?

— Tak. Bez zniekształceń.

— Proszę Koleżeństwa — głos psychologa drżał nieukrywanym podnieceniem, — Sądzę, że powinniśmy dać profesorowi tę szansę. On, który całe swoje życie poświęcił budowie i programowaniu sztucznego intelektu, ma możliwość, chwilowego lub wiecznego, zjednoczenia się z takim właśnie, wymarzonym rozumem. Zgodnie z zapewnieniem naszych gości będzie miał możliwość wypowiedzenia się co do swego dalszego losu. Uważam, że nie mamy prawa pozbawiać go tego!

Po tym wybuchu psychologa cisza zaległa w sterowni. Nikt nie śmiał odezwać się pierwszy.

Wreszcie po dłuższym milczeniu rozległ się głos dowódcy:

— Zarządzam głosowanie. Kto jest za przyjęciem propozycji niech wypisze swoje nazwisko na prawym ekranie. Obecni w sterowni głosują przez podniesienie ręki.

Kolejno zapalały się nazwiska — MacDonald, Ogilwu, Brox — razem osiem nazwisk. Sylwia, Dan i Peterson podnieśli ręce; Cleve też uniósł swoją...

— Dwanaście — obwieścił. — A teraz, kto się wstrzymał?

...M. Brox — zajaśniało na tablicy. Lekarka, jako jedyna, nie głosowała za propozycją.

— Dziękuję wszystkim — skinął głową Cleve, i zwracając się w stronę dwóch nieruchomych postaci, rzekł: — Prosimy was o zajęcie się naszym rannym.

— W porządku — odezwał się głośnik. — Przybędzie tu inny nasz przedstawiciel z odpowiednią aparaturą i zajmie się ekstrakcją.

— Czy przedtem trzeba będzie chorego dehibernować? — z troską w głosie zapytała Mary Brox.

— Nie. Nie trzeba.

— Dziękuję.

— My również dziękujemy wam za umożliwienie nam zwiedzenia waszego statku i nawiązania kontaktu z waszym Logokodem. Dzięki niemu mogliśmy wam opowiedzieć historię naszej cywilizacji, a także poznać wasz dorobek. Do pełnego obrazu waszego życia brakuje nam tylko tego, czego nie może znać najlepsza nawet maszyna logiczna — opisów waszych uczuć i problemów z nimi związanych. Jeśli uznacie, że można nas wtajemniczyć w nie, dajcie nam znak. Byłoby to dla nas niezwykle fascynujące móc wniknąć, chociaż powierzchownie, w świat uczuć istot organicznych, posmakować jak mogli myśleć i czuć nasi mityczni przodkowie.

— To będzie możliwe w każdej chwili, a najlepiej może to zrobić kobieta — uśmiechnął się Cleve.

— Świetnie. A teraz, jeśli wyrażicie na to ochotę, chcielibyśmy zaprosić was do zwiedzenia naszego muzeum sztuki, obejrzenia tego, co najcenniejsze z dorobku naszej kultury.

— Bardzo chętnie skorzystamy.

— Dla tych, którzy nie będą mogli udać się z nami, uruchomimy łączność telewizyjną. Dzięki niej będziecie mogli zapisać cały pokaz i odtworzyć go po powrocie na Ziemię. Pokazując naszą sztukę chcemy wam zrekompensować niechęć do odsłaniania osiągnięć nauki. Aby można było objaśnić sens poszczególnych eksponatów musi być czynne również połączenie z Logokodem. W tym celu jeden z nas pozostanie tutaj.

— To oczywiste.

— W takim razie ja odlatuję do siebie. Będziemy was oczekiwać. Do zobaczenia.

— Do widzenia.

Dowódca ruszył powoli w stronę korytarza, a Dan towarzyszył mu z tyłu. W ten sposób doszli aż do śluzu i tu się rozstali. Śluzowanie gościa poszło tym razem nadzwyczaj szybko i po chwili od „Miraxa” oderwał się owalny kształt i poleciał w stronę macierzystego statku.

W sterowni panowała gorączkowa atmosfera i nikt nie zwracał uwagi na nieruchomego i milczącego gościa. Po przeprowadzeniu rozmowy ze wszystkimi członkami załogi Cleve wytypował trzy osoby, które — oprócz niego — miały udać się raketami na zwiedzanie niesamowitego muzeum. Byli to: Kim, Ogilwu i Sylwia. Wszyscy oni czuli się już na tyle dobrze, że mogli bez żadnych komplikacji wybrać się na tę wycieczkę. Początkowo była brana pod uwagę kandydatura Any, ale ta nie miała ochoty opuszczać „Miraxa”. Na czas nieobecności dowódcy jego obowiązki przejął nawigator.

Cała czwórka zgodnie udała się do magazynu skafandrów, aby sprawdzić swoje uniformy, a zaraz potem do jadalni.

Nie wiadomo jak długo mogło potrwać zwiedzanie tych gigantycznych zbiorów...

Start czwórki „turystów” — jak ich już zdążyli nazwać pozostali — wypadł w jakieś dwie godziny po odlocie dowódcy obcego statku. Z pewnością wszystko już było przygotowane do zwiedzania.

Wypróbowanym już przez Dana sposobem przywiązali obie „pchły” do metalowych słupów podtrzymujących odsuniętą pokrywę wjazdu i zapuścili się w czeluść śluzy. Dalej wszystko odbyło się dokładnie tak, jak opisywał Dan. Pokraczny automat zaprowadził ich do pomieszczenia ze sztuczną grawitacją, gdzie już czekało na nich czterech gospodarzy. W towarzystwie jednego z nich udali się na zwiedzanie. Zaczęli od prymitywnych ozdób z półszlachetnych kamieni, które równie dobrze mogłyby być eksponowane w każdym ziemskim muzeum, nie wzbudzając większej sensacji.

Dalej wyroby stawały się coraz bardziej dopracowane, zaczęło dominować złoto i szlachetne kamienie. Szczególnie zainteresowały ich dwa, nieomal identyczne sznury wspinających szlifowanych kamieni, oprawnych w złoty ornament o roślino-podobnych motywach. Sylwia nie mogła oczu oderwać od tych wspinałości i Cleve musiał ją aż dwa razy pociągnąć za rękę, aby wreszcie dołączyła do grupy.

Dziwne to było zwiedzanie. W swych niezgrabnych skafandrach płynęli przez zatłoczone do niemożliwości magazyny, oglądając w najlepszym przypadku co setny przedmiot wyłoniony z mroku. Objaśnienia z rzadka podawane przez Logokom, były bardzo ogólnikowe. Widocznie do zrozumienia szczegółowych opisów brakowało nam zbyt wielu pojęć.

Mimo tych niedogodności, wyłaniane z miliardoletnich mroków piękno — pozostało pięknem.

W dalszym ciągu oglądali dzieła z okresu, który można by porównać z ziemską starożytnością lub średniowieczem. Były bliskie podobieństwem ewolucyjnym, wspólnotą żywych organizmów, walczących wszędzie o przetrwanie.

Z niecierpliwością oczekiwali wizerunków twórców tych wspinałości i nie doczekali się. Widocznie gospodarze uznali, że to wykraczało poza granicę sztuki i mogło już być nauką. Może obawiali się o nas tak dalece, że aż nie chcieli pokazać nam wizerunków swoich protoplastów, ich zwierząt i roślin?

A może ich sztuka nie zajmowała się odzwierciedlaniem rzeczywistości, lecz od samego początku była abstrakcją?

W pewnym momencie rozległa się muzyka — Po brzmieniu zorientowali się, że to nie człowiek ją stworzył. Mimo, iż była wytworem nieznannej cywilizacji, miała w sobie coś bliskiego, coś, co zmuszało do skoncentrowania uwagi wyłącznie na niej.

Szukali w myślach stosownego odpowiednika, ale nic nie kojarzyło się z tymi dźwiękami. Domyślali się, że utwór był specjalnie wybrany dla zilustrowania epoki, z której pochodziły oglądane eksponaty, epoki lawinowego rozwoju istot już rozumnych, ale jeszcze głęboko tkwiących najróżniejszymi przyzwyczajeniami w świecie swych zwie-

rzęcych pobratymców. Przedostali się do pomieszczenia, w którym dominowały wyrefinowane kształty metalowych kompozycji przestrzennych, wywołujących nastrój smutku i przygnębienia. Muzyka zmieniła rytm, przycichła i dostosowała się do nastroju wywołanego niepokojącymi kształtami rzeźb.

Wreszcie przygnębiające dźwięki zamilkły i wydostali się na korytarz, a stamtąd do innego zespołu pomieszczeń. Widać było od razu, że to zupełnie inny rodzaj sztuki. Wytwory jej cechowała nieprawdopodobna pracowitość artystów, chcących bogactwem formy zrekompensować sobie surową prostotę dzieł z poprzedniego okresu. Zmienił się też zestaw materiałów, z których tworzono. Było teraz mnóstwo efektownego czarnego kamienia, podobnego do obsydianu, i w tym twardym tworzywie artyści rzeźbili koronki wymyślnych wzorów.

Niektóre przedmioty wyglądały na wyraźnie użytkowe, ale ich przeznaczenia nie można było się domyślić. Pytać nie śmieli, a przewodnik dawał krótkie lakoniczne informacje dotyczące znanych im już w skrócie dzieł Drugiej Planety.

Pod koniec zwiedzania tej części zbiorów znów odezwała się muzyka; było to coś niesamowitego! Kakofonia najróżniejszych dźwięków wołająca krzykiem bezsilnego protestu.

Zniknęły już cyzelowane rzeźby, a w nielicznych kompozycjach powtarzał się w różnych wariantach motyw rozrywającej się gwiazdy. W końcu muzyka zaniósł się ostatnim krzykiem i wszystko się urwało. W ciemności rozgorzał przestrzenny obraz Nowej bezpośrednio po wybuchu.

Na tym, ku zaskoczeniu całej czwórki, zwiedzanie zakończyło się i wrócili do sali, gdzie znów można było chodzić po podłodze i gdzie trójka gospodarzy tkwiła w tym samym miejscu co poprzednio.

— Dziwicie się zapewne, dlaczego nie pokazaliśmy wam przynajmniej pobieżnie dzieł sztuki z okresu cywilizacji postbiologicznej — rozległo się w wewnętrznych głośnikach. — Po prostu znajdują się one poza pasmem percepcji człowieka. Musicie nam uwierzyć na słowo, że jest to sztuka dużego formatu, ale sztuka nie dająca się przetransformować na impulsy przyswajalne przez wasze zmysły. Znajdziecie tam niezrównane sploty elektromagnetyczne, symfonie grawitacyjne, czterowymiarowe kompozycje czasoprzestrzenne pierwszej i drugiej generacji, delikatne jak myśl mozaiki neutrinowe i monumentalne bryły pomników wielkich wydarzeń ewolucji nieorganicznej.

Tylko nieliczne z nich byłyby zauważalne przez was. Większość, istniejąca jedynie w programach urządzeń do ich wytwarzania i emitowania przez nie na żądanie odbiorcy, konkretyzowana jest bądź w formie sterowanych pól bądź w postaci modulowanych wiązek, a przez to niedostępna odbiorcom nie posiadającym odpowiednich zmysłów.

Dzięki stworzeniu tego typu sztuki uzyskała ona ogromne możliwości ekspansji. Każde wybitne dzieło mogło być powielane w dowolnej liczbie równoważnościowych

egzemplarzy, nie różniących się od oryginału. Materialne dzieła sztuki mają charakter wybitnie elitarny, a prawdziwie dostępne dla wszystkich mogą być tylko wytwory, których tworzywem jest energia. Taką właśnie sztukę udało się nam stworzyć.

Zapanowało dłuższe milczenie, które odebrali jako sygnał do zakończenia wizyty. Cleve podziękował za umożliwienie im zwiedzenia zbiorów i zapewnienie łączności. Następnie znaną już sobie drogą wrócili do przywiązanych na zewnątrz rakietek.

Kiedy byli już z powrotem na „Miraxie”, od kadłuba olbrzyma oderwały się dwie kapsuły i pomknęły w ich stronę.

Po chwili u wejścia do śluzy stanęły dwa znajome już kształty. Towarzyszył im automat dźwigający spory pojemnik. Zaraz po wejściu poprosili o doprowadzenie do ciała uśpionego cybernetyka. Pod czujnym okiem Mary Brox rozstawili swoje aparaty i rozpoczęły tajemnicze czynności. Trwało to dość długo, aż wreszcie poskładali swoją aparaturę i przenieśli się do sterowni. Tam znowu przez pewien czas trwały manipulacje przy dziwnych przyrządach.

W końcu Logokom zasygnalizował zakończenie całego procesu i gotowość nawiązania kontaktu z profesorem.

Mimo, iż zdawali sobie sprawę z ogromnych możliwości przedstawicieli tej prastarej cywilizacji, to jednak wszyscy czuli się bardzo nieswojo. Nikt nie kwapił się zacząć pierwszy. Kłopotliwe milczenie zdecydował się przerwać dowódca. Niezdecydowanie ujął mikrofon i cicho zapytał:

— Profesorze Nakamura, czy pan mnie słyszy?

Odpowiedzią było początkowo tylko milczenie, a potem jakieś nieartykułowane dźwięki.

— Profesorze Nakamura! — zawołał jeszcze raz Cleve.

— Kto... mnie... woła...? — to był głos Logokomu.

— Dowódca „Miraxa”.

— A, to pan, Cleve... Dlaczego ja nic nie widzę? Gdzie ja jestem?

— Profesorze. Niech pan będzie przygotowany na wysłuchanie nieprawdopodobnych wiadomości: To będzie dla pana szokiem... Tylko proszę nie myśleć, że to wszystko jest snem.

— Czy... czy ja straciłem wzrok?

— Nie, nie! jest pan na pokładzie „Miraxa”, w połowie drogi do Ziemi. Nasze badania w układzie Bernarda dobiegły końca. Pamięta pan zapewne końcowe stadium penetracji Drugiej Planety. Poszłicie obaj z Kimem zbierać okazy paleontologiczne, do wąwozu...

— Tak! Tak! Usłyszałem jakiś hurkot... Ja miałem wypadek?!

— Niestety, tak.

— I co dalej?

— Zabraliśmy pana na pokład i poddali hibernacji.

— To znaczy, że wypadek był bardzo poważny... A dlaczego w takim razie obudzi-
liście mnie teraz? Dlaczego ja nie widzę? Dlaczego mój własny głos ma takie dziwne
brzmienie? Co się tu właściwie dzieje?!

— Profesorze. Dzieją się rzeczy nieprawdopodobne. Uprzedzałem pana... Był pan
ciężko ranny, wracaliśmy do domu. Chcieliśmy aby zajęli się panem na Ziemi najlepsi
neurochirurdzy.

— Mam uszkodzony mózg... A teraz dehibernowaliście mnie?

— Nie, nie! Jest pan dalej w anabiozie.

— Cleve, synu, są dwa wyjścia. Albo mnie się to wszystko śni, albo ty zwariowałeś.

— Ani jedno, ani drugie. Spotkaliśmy statek z przedstawicielami znacznie wyższej
cywilizacji. To właśnie oni umożliwili nam kontakt z pana osobowością.

— W jaki sposób?

— Nie wiem. Być może nie potrafilibyśmy tego zrozumieć.

— Tak... A kto jest jeszcze obecny tutaj?

— Wszyscy, cała załoga.

— A czy mogę z kimś innym rozmawiać?

— Z każdym.

— Chcę rozmawiać z Kimem.

— Kim, podejdź do mikrofonu — zawołał Cleve.
Wezwany wszedł do sterowni i ujął podany mu mikrofon.

— Słucham, profesorze...

— Czy to ty, Kim? Masz taki sam głos jak dowódca. Taki... taki mechaniczny.

— To z pewnością dlatego, że otrzymuje pan impulsy bezpośrednio do mózgu, od
Logokomu.

— Słuchaj Kim, pamiętasz gdy wydobywaliśmy te skamieniałości — powiedziałeś,
że jedna z nich jest podobna do takiej ziemskiej... Nie zapamiętałem nazwy, a tak mi się
podobą...

— Olenus truncatus.

— Rzeczywiście! Wybacz, poddałem cię testowi, bo przez cały czas podejrzewam,
że to wszystko mi się śni. Teraz już wiem, że nie. Tego truncatusa nie było w moim
mózgu...

Ale powiedz mi, skoro oni — ci przybysze — są tak potężni, to dlaczego ja was nie
mogę zobaczyć? Przecież to tylko kwestia dodatkowych impulsów, powiedzmy od ka-
mery.

— Poprosimy ich — odpowiedział Kim i rzucił okiem na kamerę Logokomu; była
wyłączona. Podbiegł do niej i uruchomił ją.

— Widzę was! Widzę!! Poznają... A to, czy to są oni?

— Tak, to przedstawiciele cywilizacji postbiologicznej.

— A więc ucieleśnione mrzonki fantastów... Weźcie przenośną kamerę i pokażcie mi moje ciało. Chcę zobaczyć, jak ja naprawdę wyglądam. Z zewnątrz — zaśmiał się.

W czasie gdy łącznościowiec przygotowywał kamerę, Dan cieszył się jak dziecko tym, że profesor zastosował taki sam test jak on, wtedy gdy wątpił w realność rozmowy radiowej z Clevem i z Any.

Gdy kamera i kable były już przygotowane, MacDonald z nieodstępną lekarką udali się do pomieszczeń hibernacyjnych. Zatrzymali się nad pojemnikiem z ciałem Nakamury i włączyli kamerę.

— Tak. To ja. Mary, czy mój stan jest poważny?

— Miałeś dość ciężki wypadek...

— Jak widzisz moje szanse?

— Na Ziemi są świetni specjaliści, mają znacznie bogatsze wyposażenie. W czasie naszej nieobecności technika poszła i jeszcze pójdzie do przodu...

— Rozumiem. Czy robiliście mi zdjęcie czaszki?

— Oczywiście!

— Pokaż mi.

— ...No, wiesz... Chory nie powinien mieć wglądu w takie dokumenty.

— Mary, ty musisz mi pokazać te zdjęcia. Ja chcę wiedzieć!

Zrezygnowana lekarka pochyliła się i podniosła plik leżących na półce klisz rentgenowskich. Jedną z nich umieściła pomiędzy lampą a kamerą. Widać było na niej liczne załamania i wgniecenia czaszki, krwiaki...

— Dziękuję, Mary. To jedno wystarczy mi. Idźcie do sterowni.

MacDonald zabrał kamerę i wrócili na swoje miejsce. Głośnik Logokomu milczał mimo ponawianych prób kontynuowania kontaktu. Nie odzywali się także przybysze. Gdy wszyscy byli już zupełnie zdezorientowani, znów odezwał się Nakamura.

— Wybaczcie tę przerwę. Oni nawiązali ze mną bezpośrednią łączność. Proponują mi — przerwał na chwilę — nie, to nie ma nic wspólnego z tematem. Dwóch z nich zaraz odleci na swój statek i ja chwilowo z nimi. Nie martwcie się o mnie, jeszcze mnie usłyszycie.

Dwie z trzech nieruchomych postaci ruszyły do śluzy, a wraz z nimi automat z aparaturą. Odprowadził ich Dan i zajął się także wypuszczeniem na zewnątrz. Po chwili jedna z kapsuł oderwała się od „Miraxa” i poszybowała w czern.

W sterowni i wokół niej nikt się nie odzywał. Parę osób wyczerpanych nadmiarem wrażeń spało na siedząco. Osłabione trzyletnią anabiozą organizmy domagały się odpoczynku. Nawet dowódca ziewał, dyskretnie zasłaniając usta.

Po powrocie Dana zebrał wszystkich jeszcze przytomnych i zaproponował odpocznik. Wszyscy zgodzili się z entuzjazmem na ten projekt. Jedynie Sylwia zgłosiła goto-

wość kontynuowania rozmowy z „szefem”. Towarzyszyć jej miała Any, pełniąca obecnie dyżur nawigacyjny. Dan poszedł się przespać, zmęczony długim dyżurem, a potem tymi wszystkimi wydarzeniami. Cleve kazał się obudzić najpóźniej za dwie godziny.

Cisza zaległa statek. Obie kobiety poczuły się trochę nieswojo w towarzystwie nieruchomego robota, który zdawał się nic nie dostrzegać z tego, co tu się działo. Nalały sobie po filiżance dobrej, mocnej kawy i Sylwia drżącą ręką przysunęła sobie mikrofon.

— Jestem gotowa do udzielenia informacji na interesujący was temat. Proszę pytać.

— Uściślijmy — odpowiedział głośnik. — Na interesujący mnie temat. W tej chwili połączenie między obu statkami jest przerwane. Informacje mają być przeznaczone wyłącznie dla mnie, ponieważ nie wiem, czy byłyby wskazane dla reszty załogi. Interesuje mnie wszystko, co dotyczy sfery uczuć istoty organicznej. Mamy, a raczej mieliśmy świetnie rozwiniętą naukę, którą wy nazywacie biologią. Dzięki niej poznaliśmy do najdrobniejszych szczegółów anatomię, fizjologię, sposoby przekazywania sobie informacji, a nawet zwyczajnie setki tysięcy gatunków całej galaktycznej ekosfery. I co z tego? W końcu stwierdziliśmy, że nic nie wiemy o nich. Proszę cię, opisz mi jeśli potrafisz, na czym polega miłość, co to jest nienawiść, jak się odczuwa strach albo rozkosz, jaki impuls pcha do czynów irracjonalnych, bohaterskich. Próbowaliśmy to wszystko badać, ale uzyskiwaliśmy tylko sterty wykresów lub zapisów numerycznych, które nam nic, ale to nic nie mówiły...

— Miłość... Miłość to jest sprawa bardzo prosta. Miłość jest wtedy, kiedy ktoś jest całym... całym twoim światem. Dla człowieka zakochanego nie istnieje nic oprócz osoby kochanej, a raczej świat cały jest mało znaczącym dodatkiem do tej osoby. Wybacz, że mówię tak jak czuję, tak jakbyś ty był człowiekiem.

— Mów tak, jak ci wygodniej, to fascynujące!

— A więc jeśli kochasz, tracisz rozum, swoją osobowość, ambicję — wszystko. Pozostaje tylko chęć przebywania w pobliżu osoby kochanej, potrzeba najwyższa służenia jej, opiekowania się nią, strzeżenia jej...

— To musi być wspaniałe!

— Tak! Tak! To jest wspaniałe.

— Czy każdy człowiek kocha?

— Myślę, że nie każdy. I żał mi tych, co nigdy nie kochali.

— A ty?

— Ja? Ja wiem, co to jest miłość. Tak. Na pewno wiem.

— Jesteś kobietą, prawda?

— Tak.

— Przed miliardami lat gatunek, który nas wydał, również charakteryzował się podziałem na płci. Jest to często w przyrodzie spotykany system kontynuacji. Niestety, konstruktorzy naszych prymitywnych przodków, nie zaprogramowali im uczuć, a w toku

ewolucji nie wykształciły się one u nas. Jesteśmy doskonale zrównoważeni, idealnie logiczni i maksymalnie precyzyjni w swoich osądach. Nie poddajemy się emocjom i nastrojom; robimy tylko to, co logiczne.

— W takim razie życie wasze musi być bardzo ubogie.

— Ubogie?... Masz rację. Podejrzywałem to, odkąd was poznałem, gdy tylko Dan przyleciał do nas. Jakże on się bał, a równocześnie ile wykazał odwagi! To było pasjonujące, obserwować tego człowieka w całkowicie obcym sobie świecie. Z tego powodu jestem tutaj sam; wiem, że dobrze zrobiłem nie zabierając ze sobą nikogo i likwidując połączenie. Oni nie powinni wiedzieć tego, co ja słyszę. Byłoby to dla nich wręcz szkodliwe. Oni dotychczas nie zdają sobie sprawy ze swojego ubóstwa...

— A ty?

— Cóż ja? Ja jestem dowódcą odpowiedzialnym za losy statku i cywilizacji. Powinienem wiedzieć wszystko. Wiedząc, mogę znaleźć wreszcie jakieś wyjście... Ale opowiadaj o uczuciach.

— Przeciwnością miłości jest nienawiść. Nienawiść rodzi się z krzywdy. Jeśli ktoś kogoś nienawidzi, gotów jest zrobić wszystko aby go upokorzyć, zniszczyć. Gotów jest niekiedy nawet na najgorsze — na zabójstwo. Oczywiście siła nienawiści zależna jest od wielkości krzywdy i od osobowości pokrzywdzonego. Najsilniejsza nienawiść może zrodzić się z nieudanej miłości.

— To niesamowite! Nie mogę wprost pojąć tego, co mi mówisz. Dla mnie, istoty pozbawionej uczuć, brzmi to jak bajka. Równocześnie nie mogę zrozumieć jednej sprawy — jak wy, stworzenia zbudowane z nietrwałego białka możecie żyć, zabiegać o najdrobniejsze sprawy, kochać, nienawidzić, rozmnażać się i wychowywać potomstwo wiedząc, że po krótkim, jak mgnienie oka istnieniu — umrzecie, że jest to nieuchronne i nikt nie jest w stanie temu zapobiec?

To jest dla mnie najbardziej niezrozumiałe. Z logicznego punktu widzenia, istota rozumna, mająca w perspektywie tak krótki okres istnienia, powinna go całkowicie poświęcić na przyjemności. A wy co? Jakby nigdy nic, chodzicie do szkoły, zakładacie rodziny, pracujecie, budujecie domy i drogi, jakby śmierć was nie dotyczyła, jak to jest możliwe?

— Dzieci nie rozumieją śmierci, młodzi ludzie uważają właśnie tak, jak powiedziałaś — że ich to nie dotyczy, a starsi... starsi z wiekiem oswiają się z nią, z jej nieuchronnością i przyjmują ją jako coś najzupełniej naturalnego. Bo tak też jest w istocie. Wiedzą, że ich dzieło będzie kontynuowane przez dzieci, wnuki...

— A więc wy traktujecie swój gatunek jak jeden wielki organizm, składający się z dużej liczby pozornie samodzielnych komórek — osobników. W ten sposób wszystko staje się zrozumiałe.

— Ach nie, nie! Każdy z nas uważa się za coś wyjątkowego i niepowtarzalnego, za in-

dywidualność. Dalecy jesteście od uważania się za fragmenty wielkiego organizmu, ale w tej chwili już nie jestem tak pewna, czy nie należałoby właśnie tak rozumować... Bo czyż my, tu, na „Miraxie”, nie stanowimy czołówki organizmu zwanego ludzkością?

— Wiesz, zaczynam wam zazdrościć. To jest pierwsze uczucie, jakie wytworzyło się w moim niepodatnym mózgu. Zazdroszczę wam wszystkiego: krwi pulsującej w żyłach, bólu, który przeszywa rozszarpywane ciało, zdolności do kochania i nienawidzenia. Zazdroszczę wam strachu i bohaterstwa, poświęcenia się dla innych. Wszystkiego wam zazdroszczę, ale najbardziej nieuchronności śmierci. To ona, ta nieuchronność, wyzwala w was niepohamowaną energię i powoduje, że w ciągu niezwykle krótkiego życia dokonujecie rzeczy ogromnych. Mając mało czasu wykorzystujecie go do maksimum. Żyjecie pełnią życia, krótkiego jak fajerwerk, lecz bogatego tłumem przeżyć i dokonań.

Czy ty wiesz, co to za męczarnia być nieśmiertelnym? Patrząc na narodziny i śmierć gwiazd, cywilizacji, a samemu trwać, beznadziejnie trwać, nie wiadomo po co?

Cisza zapanowała tak przejmująca, że aż Any, siedząca dotychczas nieruchomo przy pulpicie odwróciła się, zaniepokojona, do tyłu.

Sylwia nie wiedziała co odpowiedzieć swojemu rozmówcy. Nic rozsądnego nie przychodziło jej do głowy... W końcu odezwała się drżącym z przejęcia głosem:

— A może polecilibyście z nami na Ziemię? Zobaczylibyście jak żyjemy, pomogli byście nam w rozwiązaniu naszych problemów. Może spodobałoby się wam u nas i zostalibyście z nami?

— O nie, Sylwio! To niemożliwe. Przynieśli byśmy wam tylko nieszczęście. Nasze frustracje wkrótce stałyby się waszymi, a waszych doznań i tak nie moglibyśmy przejąć. Dla waszego dobra wkrótce rozstaniemy się z wami na zawsze. Dziękuję ci za rozmowę, ale na mnie już czas.

Sylwia podeszła do nieruchomego robota, stanęła przed nim i oparła swoje obie dłonie na metalowym korpusie, który za sto, za tysiąc lat będzie taki sam jak w tej chwili, podczas gdy z niej nie pozostanie nic...

— Sylwio — z zamyślenia wyrwał ją głos Any.

— Tak...

— O której Cleve kazał się obudzić?

— Co?... Jeszcze niech pośpi z pół godziny.

Robot drgnął, uniósł się o kilka centymetrów nad podłogę i ruszył do drzwi. Sylwia pobiegła za nim aby go przepuścić przez śluzę. Po kilku minutach owalna kapsuła oderwała się od burty „Miraxa”.

Śledziły jego lot aż do wylądowania koło oświetlonego wjazdu. Gdy robot wszedł do środka oderwały wreszcie oczy od ekranu.

— Sylwio, byłaś wspaniała jako przewodnik po sferze uczuć ludzkich! Gratuluję.

— Nie śmieję się, bo w tym czło..., bo w tym robocie był jakiś bezbrzeżny smutek. On

miał niejasne przeczucie, że ogromny kawał świata jest przed nim szczelnie zamknięty, i że drzwi na tamtą stronę nigdy się przed nim nie otworzą. Mimo jego nieograniczonej prawie wiedzy, mimo nieśmiertelności, którą praktycznie osiągnął.

— Ja się wcale z ciebie nie śmieję; mnie też było go żal. Naprawdę!

Obie dziewczyny nagle przerwały rozmowę, bo równocześnie przypomniały sobie o poleceniu dowódcy. Any zerwała się mówiąc:

— Trzeba iść go obudzić.

— Poczekaj, ja pójdę — zawołała Sylwia.

— Jeśli chcesz, to idź.

Sylwia ruszyła korytarzem do kabiny Cleve'a. Przed wejściem zatrzymała się niezdecydowanie, ale po chwili delikatnie zapukała w drzwi — nikt nie odpowiedział. Nacisnęła klamkę i na palcach weszła do środka. Dowódca spał w ubraniu, nogi miał podkurczone jak dziecko i zupełnie nie wyglądał na kosmicznego wygę, o którego wyczynach podczas wyprawy do układu Canis Maioris tyle się nasłuchiwała, będąc jeszcze w szkole.

... — Ileż on może mieć lat? — zastanowiła się. — Pięćdziesiąt... sześćdziesiąt... E, to nie ma sensu. Wygląda na trzydzieści parę, bo brał już udział w dwu wyprawach gwiazdnych; ta jest trzecią. A ileż można się postarzyć w czasie takiej wyprawy do najbliższych układów — o cztery, pięć lat, zamiast dziesięciu, dwunastu... A dowódca, który nie pełni dyżurów próżniowych, jeszcze mniej.

Pochyliła się nad leżącym; był taki jakiś zwyczajny, bezbarwny w swoim śnie. Nie do wiary, że to właśnie ten posagowy Cleve Tunner...

Ogarnęła ją fala czułości. Wiele wysiłku kosztowało ją, by nie pocałować go w czoło. Delikatnie dotknęła ręką jego ramienia i szepnęła:

— Cleve, wstawaj.

Momentalnie otworzył oczy i napotkał jej wzrok. Przez moment wyglądał na bardzo zdziwionego, ale zaraz uśmiechnął się do niej.

— A... Sylwia. Stało się coś?

— Nie, nic. Tylko budzę cię, bo kazałeś. Pamiętasz?

— Oczywiście. Jak ci poszło?

— W porządku. Porozmawialiśmy sobie i potem on odleciał. Cała rozmowa była oczywiście nagrywana.

— Spodziewam się! Zaraz przyjdę do was i przesłucham. Dziękuję za obudzenie.

Sylwia wyszła. Idąc do sterowni rozmyślała o tym, że jeszcze przed kwadransem Cleve był dla niej dowódcą i niczym więcej. Teraz już wcale nie była tego tak pewna...

Any przechadzała się po sterowni wymachując rękami i nucąc jakąś zwariowaną piosenkę.

— Co ci jest?

— Dobrze, że już wróciłaś, bo strasznie mi się chce spać. Dosłownie zamykają mi się oczy.

— To zmykaj, zaraz tu będzie Cleve.

— Cześć. Już zmykam. Obudźcie mnie, jak będzie coś ciekawego.

— Dobrze.

Any wyszła, zostawiając ją samą w sterowni. Cisza, przytłaczająca cisza i towarzyszące jej poczucie osamotnienia ogarnęły ją wzbierającą falą. Od razu przypomniał jej się poprzedni dyżur próżniowy; była przygotowana na jego przygnębiającą monotonię, miała za sobą treningi w symulatorach, ale nie sądziła, że to będzie aż tak trudne. Teraz znowu się zacznie...

Wprawdzie znawcy twierdzą, że tylko pierwszy dyżur przechodzi się tak ciężko — dalsze płyną już łatwiej, ale Sylwia nie podzielała tej opinii. Na widok wchodzącego dowódcy zerwała się uradowana.

— Wypałeś się?

— Można wytrzymać. Co nowego?

— Nic. Any poszła odpocząć, a tam, u nich, nic się nie dzieje.

— Włącz magnetofon, posłucham tej waszej rozmowy.

Nacisnęła starter magnetofonu, lecz z głośnika popłynęły tylko nieartykułowane dźwięki. Nerwowo zaczęła penetrować całą nagraną taśmę, ale wszędzie było to samo.

— Cleve, ja nic z tego nie rozumiem. Nagrywałam zupełnie normalnie.

Dowódca podszedł do mikrofonu komunikacji z Logokomem i zapytał:

— Jaka jest przyczyna zniekształcenia zapisu ostatniej rozmowy?

— Celowe działanie gościa. Nie potrafiłem zapobiec. Dowódca popatrzył na Sylwię ze zdziwieniem.

— O co mu chodziło?

— Ja chyba wiem, domyślam się. On się za bardzo rozkleił i nie chciał, żeby to dotarło do jego załogi. Bał się destrukcyjnego wpływu świadomości ich uczuciowego ubóstwa na morale swoich podwładnych.

— Strach przed korozją psychiczną — doleciało z głośnika.

Spojrzeli na siebie ze zdumieniem; Logokom był tak zaprogramowany, że odpowiadał tylko na pytania lub polecenia. Tym razem stało się coś zupełnie nieprzewidzianego — on współuczestniczył w dyskusji i trzeba przyznać, że postawił trafną diagnozę.

Sylwia wyłączyła mikrofon, odcinając maszynę od dalszego uczestnictwa w ich rozmowie. Mimo to czuli się dziwnie; zdawało im się, że ktoś trzeci jest w pomieszczeniu i uważnie ich obserwuje.

— Cleve, porozmawiamy o tym później. Kiedy programiści na Ziemi dowiedzą się o tej odżywce Logokomu — zbaranieją. W każdym razie będę miała co robić podczas samotnych godzin. Widocznie Logokom pod wpływem naszych gości zaczyna objawiać

nowe cechy. Spróbuję go delikatnie wysondować.

— Chciałbym to zobaczyć!

— Nic łatwiejszego. Weź sobie dyżur ze mną; przepisy nie zabraniają jeśli dowódca chce dyżurować.

— A ty, chciałybyś?

— ...Tak — powiedziała cicho i poczuła, że się gwałtownie czerwieni, i że nic na to nie może poradzić. Cleve pogłaskał ją po głowie i rzekł:

— Dobrze, biorę ten dyżur. Zajmiemy się oboje tą gadatliwą szafą.

Tak byli zajęci rozmową, że nie zwracali uwagi na ekrany. Dopiero stuk drukarki zmusił ich do obserwacji. Z włazu sąsiedniego statku wydostał się jeden z robotów i wsiadł do kapsuły, a ta zaraz oderwała się od pancierza i pomknęła w stronę „Miraxa”. Obserwowali uważnie jej lot. W połowie drogi między statkami mały dysk zatrzymał się, a po chwili zaczął z dużą prędkością oddalać się w tym kierunku skąd przybyli.

— Co on wyprawia! — krzyknął Cleve. — Zgubi się.

Małeńki punkt odległy był już o kilkanaście kilometrów. Po dalszych kilku minutach stał się mikroskopijnym rozbłyskiem na ekranie. Patrzyli na siebie nic z tego nie rozumiejąc.

Nagle jaskrawy błysk przeszył mroki odwiecznej nocy. Tam, gdzie przed chwilą jarzył się małeńki punkt, nie było już nic, oprócz chmury zjonizowanego gazu.

— Jakaś cholerna awaria...

— Ja myślę Cleve, że to nie był wypadek. On się po prostu zabił.

— Kto? Co ty opowiadasz?

— Ten ich dowódca, „szef”, jak go nazywaliśmy.

— Ale dlaczego miałyby to zrobić? Przetrwał tyle miliardów lat...

— Właśnie dlatego.

— A może to nie on? Może to któryś inny?

— Nie sądzę.

Znowu zaczęła stukać drukarka Logokomu. Początkowo nie zwracali na to większej uwagi zaszokowani niedawnym wypadkiem, ale gdy stukot nie ustawał Cleve podszedł do taśmy, rzucił na nią okiem i zaraz przywołał Sylwią.

— Czytaj!

— ... Kochani. Zakończyłem już swoją długą drogę — dobrowolnie, logicznie i z własnego wyboru. Kiełkowało to we mnie od dawien dawna, ale dopiero po rozmowie z Sylwią zdecydowałem się...

Nie. Nie! Niech nikt nie ma wyrzutów sumienia z powodu tego, co się stało! Tu nie może być mowy o żadnej winie, tu w grę wchodzić może jedynie wdzięczność, moja wdzięczność dla was, którzy nieświadomie dopomogliście mi w podjęciu jedynie słusznej decyzji. Z początku, kiedy wśród mojej załogi rozpoczęła się epidemia samounice-

stwień, nie mogłem zrozumieć, co było jej przyczyną. Dopiero niedawno uświadomiłem sobie, że była nią beznadziejność. Wydawać by się mogło, że uratowani z paroksyzmu, mamy przed sobą wspaniałe perspektywy, że możemy bardzo łatwo odtworzyć naszą cywilizację w jakimś odpowiednim punkcie Wszechświata. Rzeczywiście, mogliśmy, i możemy to zrobić, ale po co? W krótkim czasie zrekonstruowalibyśmy ją, lecz jaki cel moglibyśmy przed nią postawić? Walkę o byt? — Nonsens. Nie byłoby żadnej walki. Poznanie nowego świata? — Też nie, bo zbudowany on jest z tej samej — co poprzedni — materii i rządzą nim te same prawa, które znamy już od niepamiętnych czasów. Powiecie, że moglibyśmy odkrywać nowe planety, nowe gatunki roślin i zwierząt. To prawda, ale na jak długo wystarcząłoby tego bodźca? ja nie widzę sensu kontynuacji.

Może ten, kto — mam nadzieję — obejmie po mnie dowództwo, znajdzie jakieś radykalne rozwiązanie?

Wiem, że ono istnieje, wydaje mi się, że je nawet znam, ale sam nie zdecydowałbym się na nie... Kto złożył przysięgę skazanej cywilizacji, nie zdobędzie się na tak drastyczną decyzję.

Porzuciwszy organiczne powłoki znaleźliśmy nieśmiertelność, ten wysniony stan wszystkich inteligentnych stworzeń, I co z tego? Nie myślcie, że być nieśmiertelnym to takie nieogarnione szczęście. To nuda, beznadziejna nuda wiecznego trwania, której niczym nie można zapełnić.

Jeśli wasza nauka będzie rozwijała się dalej w tak szybkim tempie, to problem nieśmiertelności wkrótce zacznie ją absorbować coraz potężniej, a dla nauki nie ma problemów nierozwiązywalnych — są tylko mniej lub więcej czasochłonne.

Ja, przedstawiciel cywilizacji, której gatunek wiodący osiągnął nieśmiertelność, ostrzegam was przed nią! A ponieważ droga do niej prowadzi przez wiedzę — ostrzegam was przed wiedzą. Nie bądźcie tacy zachłanni w odkrywaniu tajemnic Wszechświata — ma on ich tylko skończoną ilość!

Pamiętajcie o tym...

Zostawcie trochę przyszłym pokoleniom, aby was nie przeklinały, zamiast sławić.

Wiem, że to, co mówię wydaje się wam nieprawdopodobne, bo przecież każde nowe odkrycie rodzi nowe wątpliwości, wskazuje kierunki dalszych poszukiwań, uświadamia ile jeszcze zostało do zrobienia. Zaręczam wam, że tak będzie tylko do czasu, ilość problemów zacznie kiedyś maleć, przodujące dziś dziedziny wiedzy staną się stabilnymi quasinaukami, przeżywającymi w nieskończoność swoje dawne osiągnięcia...

Gdyby sto lat temu powiedział wam ktoś, że będziecie w stanie wyłowić wszystkie ryby z waszych oceanów, uwierzylibyście mu? Z pewnością nie! A dzisiaj, czy takie stwierdzenie wydawałoby się wam równie śmieszne?

Na tym chciałbym zakończyć i pożegnać was. Wrócę jeszcze na statek, aby przeka-

zać dowództwo mojemu następcy. Mam do was jedną, wielką prośbę — aby to, co wam przekazałem, nie dotarło do wiadomości moich towarzyszy... Dziękuję, I jeszcze jedno — Sylwię proszę o przyjęcie małego upominku, na pamiątkę naszej rozmowy, która pomogła mi w podjęciu ostatecznej decyzji. Zostanie on dostarczony jej przez naszego wysłannika. Żegnajcie”.

Drukarka przerwała swoje stukanie, lecz dwoje ludzi dalej wpatrywało się w nieruchomą wstęgę papieru, jakby jeszcze czegoś oczekiwali. Dopiero po chwili dotarło do nich, że to już wszystko...

Cleve włączył mikrofon Logokomu i zapytał:

— Skąd wzięłeś ten tekst?

— Został zapisany w mojej pamięci przez przybysza. Polecił mi odtworzyć go wam, gdy za rufą nastąpi eksplozja.

— W porządku... Czy pozostawił ci jeszcze jakieś inne polecenia?

— Nie.

Zaczął się przechadzać po sterowni; widać było, że jest głęboko poruszony tym co przeczytali.

— O czym myślisz?

— O nim... i o nich wszystkich. Zostało ich już tylko czterech. Co zrobią? Czy osiedlą się gdzieś, założą nową cywilizację? A może polikwidują się do ostatniego i martwy statek będzie krążył w przestrzeni, aż do następnego końca świata? Czy ta nieprawdopodobna wiedza nie przyda się już nikomu?...

— Cleve, on się zabił — złapała się na tym, że mówi o zniszczonym robocie jak o człowieku — on zginął, bo dysponował przerażającą wiedzą, I jeszcze dlatego, że zazdrościł nam — kosmicznym niemowlętom, raczkującym od gwiazdy do gwiazdy — zazdrościł życia, krwi pulsującej w żyłach, ułomnego ciała, wrażliwego na każdą zmianę warunków. A najbardziej — nieuchronnej śmierci.

— Tak... Tak, ale szkoda byłoby tego wszystkiego, gdyby miało przepaść...

W drzwiach ukazał się Peterson, a zaraz za nim Broxowie. Wszyscy troje wyglądali na doskonale wypoczętych i zdolnych do podjęcia normalnej pracy.

— Co nowego?

— Przeczytajcie sobie tę taśmę, to zrozumiecie — wszystko troje pochylił się nad papierem i nie oderwali wzroku od niego, dopóki nie przeczytali wszystkiego.

— Tak... to jest nawet logiczne — powiedział psycholog.

— Wiecie co, zdaje mi się, że mam znakomity materiał do rozprawy naukowej. Poświęcę temu następny dyżur. To będzie bomba!

— Martwię się o profesora Nakamurę — rzekła Mary — bo jeśli oni go tu nie odwiozą, to wtedy jego ciało... A w ogóle to wszystko jest niesamowite! Chciałabym, aby to był sen.

Znowu zaczęło stukać. Cleve podszedł do drukarki i przeczytał:

„Dwaj przybysze wchodzą do modułu łącznikowego” — Wszyscy spojrzeli na ekran, gdzie wyraźnie było widać jak zamyka się dyskowata kapsuła. Po chwili oderwała się od statku i poszybowała w ich stronę. W parę minut później stateczek wylądował na burcie „Miraxa” i dwa gruszkowate stwory weszły do włazu.

Śluzowanie tym razem poszło nadzwyczaj sprawnie i po chwili obaj goście zameldowali się w sterowni, poprzedzani przez Kima, który wyszedł im na spotkanie. Zaraz po wejściu do środka oba roboty znieruchomiały swoim zwyczajem i nie odzywały się, mimo iż Logokom był włączony i mogły się swobodnie porozumiewać. Bezruch ich trwał jednak tylko do momentu, kiedy bocznymi drzwiami weszła Sylwia. Jeden z robotów, o pancerzu pokrytym kurzem, i wyglądającym jakby przez dłuższy czas przebywał w jakiejś piwnicy, zbliżył się do niej. Równocześnie z głośnika rozległy się słowa:

— W imieniu nieistniejącego już, byłego dowódcy naszego statku, proszę cię Sylwio o przyjęcie tego oto upominku.

Zakurzony robot wyciągnął swoją łapę, w której tkwiło niewielkie zawiniątko.

Speszona dziewczyna, początkowo wahała się przyjąć mały pakunek, ale ponaglona szeptem lekarki zdecydowanie wyciągnęła rękę i wzięła prezent. Nerwowo odwinęła opakowanie i oczom zdumionych ludzi ukazał się wspaniały naszyjnik. Sylwia poznała go od razu, to był jeden z tych dwóch cudownych naszyjników, którymi tak się zachwycała zwiedzając gigantyczne muzeum. Musieli zauważyć jej zainteresowanie i stąd ten podarunek.

Podniosła go do góry i pokazała obecnym — precyzyjnie oszlifowane, podobne do rubinów kamienie, oprawne w misterną koronkę złotych pnaczy i kwiatów, tworzyły zachwycającą kompozycję.

Cicho weszło parę osób i spora już gromadka podziwiała mistrzowską robotę nieznanego artysty sprzed miliardów lat, podając sobie z rąk do rąk kunsztowny przedmiot.

Na koniec wrócił on do Sylwii, a ta założyła go na szyję, gdzie wyglądał jeszcze piękniej.

— Dziękuję — powiedziała — ale nie wiem, czy mogę przyjąć tak wspaniałą i drogo-cenną rzecz. To przecież unikalny zabytek...

— Mieliśmy dwa jednakowe.

Znowu otworzyły się drzwi i weszło kilka osób. Była już prawie cała załoga, brakowało jeszcze tylko Any, która niedawno położyła się spać.

Zakurzony robot wysunął się na środek i znieruchomiał przodem do ludzi. Z głośnika Logokomu rozległy się słowa:

— Przepraszam, a gdzie jest An? Czy nie chora? Chciałbym aby i ona tu była.

— Kto to powiedział? — zapytał zdziwiony Cleve.

— Nakamura.

— Gdzie... Gdzie pan jest, profesorze?

— Tutaj, przed wami. Wyposażono mnie w tę pancerną powłokę i przybyłem, aby się z wami pożegnać.

Oslupienie było kompletne. Wszyscy stali; nieruchomo, nie wiedząc co robić.

Pierwszy opamiętał się Dan i krzyknął:

— Już pędzę po nią, zaraz tu będzie!

Po jego wyjściu dalej nikt nie kwapił się do zabrania głosu; roboty również milczały.

Any zjawiała się nadspodziewanie szybko. Zdyszana wpadła do sterowni i zatrzymała się niezdecydowanie.

— Co się tu dzieje?

— Dobrze, że przyszedłeś, An — rozległo się z głośnika. — Przepraszam cię za przerwanie snu, ale chciałem was wszystkich jeszcze raz zobaczyć, zanim się rozstaniemy.

— Jak to — rozstaniemy? — głos Mary wyraźnie drżał.

— Nie dziwcie się, bo jaką ja miałem szansę przeżycia? Powiedzmy sobie prosto i szczerze — żadną. Stan zdrowia mego ciała jest beznadziejny i ty o tym wiesz, Mary. Zawodowa rutyna nie pozwala ci jednak tego wypowiedzieć. Wiesz, kiedyś, przed laty, studiowałem również w Tokio medycynę; znam się trochę na tym...

Jedyną możliwość kontynuacji otworzyli przede mną oni, i to od razu ofiarując mi nieśmiertelność. Czyż mógłbym nie skorzystać z czegoś podobnego? Ja, dla którego cybernetyka była życiową pasją! Mogę sam stać się równocześnie twórcą i obiektem — na sobie samym sprawdzić swoje koncepcje. Wierście mi, każdy z was uczyniłby to samo co ja. Skorzystałem z przedstawionej mi oferty, skorzystałem świadomie i z pełnym wyrachowaniem.

Po wyrażeniu zgody, zostałem umieszczony w układzie opuszczonym dawno, dawno temu przez poprzedniego osobnika. Był to jeden z przypadków samounicestwienia przez całkowite rozkojarzenie funkcji. Przed umieszczeniem w nim mojej osobowości układ został dokładnie wyekstrahowany, tak, że ze świadomości poprzedniego osobnika nie pozostał ani bit informacji. Następnie podłączono mnie do centralnego mózgu statku, abym mógł wnikać w jego programy.

Od tego momentu stałem się członkiem innego społeczeństwa i nie mam już odwrotu. Ich wiedza stała się równocześnie moją wiedzą, a jest ona potworna... zbyt wielka, aby ją mogła udźwignąć jakakolwiek cywilizacja. Poszczególni osobnicy są tak zbudowani, że oprócz swojego, że się tak wyrażę — osobniczego ładunku informacji posiadają dostęp do centralnego mózgu, zawierającego całą nagromadzoną wiedzę. Tak to mniej więcej wygląda, jakby człowiek na Ziemi mógł w każdej chwili pojąć wiadomości zawarte we wszystkich bibliotekach i operować nimi.

Stając się członkiem innego społeczeństwa przyjąłem wszystkie prawa nim rządzące, w tym bezwzględne posłuszeństwo władzy. Sprawował ją ten, którego tak dobrze poznaliście. Oświadczył mi on, że wkrótce unicestwi się bezpowrotnie i z tym momentem mam objąć dowództwo statku, a tym samym całkowitą władzę nad cywilizacją. Z woli nieistniejącego już dowódcy jestem jego następcą...

Zdumienie, bezgraniczne zdumienie odmalowało się na twarzach zebranych w sterowni ludzi. Co za perspektywy otwierały się przed ludzkością! Dzięki Nakamura totalna wiedza zawarta w programach supermózgu stała przed nimi otworem...

— Kochani moi. Były dowódca, zanim opuścił nas na zawsze, uzgodnił ze mną dalszy tok postępowania, a ja go zaakceptowałem. Doszliśmy do wniosku, że jedyna możliwość odbudowy społeczeństwa, którego jestem teraz członkiem, leży w uprzednim zniszczeniu całego zapasu wiedzy programowej i mozolnego odkrywania jej na powrót. W ten sposób stworzymy społeczeństwu cel, bo bez celu nie może istnieć żadna cywilizacja. Sensem istnienia bowiem, jest poznanie tego sensu, a z chwilą gdy to zostanie osiągnięte, istnienie traci swój sens. Aby urzeczywistnić nasze plany, musimy jak najprędzej znaleźć odpowiednią planetę i uruchomić ewolucję od etapu gwarantującego optymalny rozwój. Następnie my pięciu, którzy zbudujemy to wszystko — musimy zginąć, aby nie przeszkadzać...

Zapytacie dlaczego właśnie ja zostałem wybrany na nowego dowódcę?

Sprawa jest prosta — mam podwójną mentalność i nie jestem przywiązany do ogromnych osiągnięć cywilizacji, która mnie przyjęła. Z tego powodu będę zdolny do wydania rozkazu jej zniszczenia. Żaden z nich nie zdobyłby się na to, bo składali przysięgę skazanemu na zagładę społeczeństwu, że będę chronić jego dorobku. Ja mogę to zrobić, bo jestem byłym barbarzyńcą...

Rezygnując z dorobku nauki nie rezygnujemy bynajmniej ze sztuki. Te jej dzieła, które nie zawdzięczają swojego istnienia rozwiniętej technice, pozostaną po wsze czasy, pieczołowicie ochraniając. Będą one cieszyć i inspirować następne pokolenia, bowiem sztuka jest nieśmiertelna. Przeszkadzać nie będą, bo można odkryć wszystkie prawa przyrody, ale niepodobieństwem jest stworzyć wszystkie dzieła sztuki — jest ona nieukończoną. Wkrótce odlecimy, aby wnet zacząć od nowa, gdzieś w Galaktyce...

Może kiedyś nasi następcy spotkają się ze sobą na gwiazdnych szlakach?

Profesor umilkł na chwilę, jakby chciał odsunąć moment ostatecznego pożegnania, albo jakby ważył słowa przed podjęciem ważnej decyzji.

— Moi drodzy. Korzystając z waszego pośrednictwa chciałbym przekazać parę słów mojemu synowi — profesor znowu przerwał, ale tylko na krótką chwilę. — Miko, czy pamiętasz jak byłeś małym chłopcem i bardzo chciałeś zamieszkać na szczycie Fudzi? Mówię ci to, abyś nie miał wątpliwości, że to ja, bo przecież tylko my dwaj znaleźliśmy twoją tajemnicę. Wiesz, Miko, nie mogę wrócić na Ziemię. Odchodzę z istotami, którym

jeszcze mogę się przydać. Przesyłam ci przez Kima ciekawe okazy wymarłej fauny, niechaj wzbogacą twój zbiór. Prochy moje złóż koło prochów twojej matki, którą tak bardzo kochałem... Żegnaj Miko.

Any płakała, dyskretnie wycierając oczy chusteczką, Cleve nisko zwiesił głowę i patrzył w podłogę.

— Żegnajcie kochani. Stanowiliśmy bardzo zgraną załogę. Będę was zawsze miło wspominał, gdziekolwiek się znajdę. Dziękuję za wszystko.

Zakurzony robot dołączył do swojego nieruchomego towarzysza i obaj ruszyli w stronę korytarza.

— Żegnaj profesorze! — zawołał Cleve do mikrofonu.

Robot odwrócił się i zawisnął na moment w drzwiach, ale tylko na moment i zaraz zniknął w korytarzu.

Po kilku minutach zobaczyli ich wsiadających do swojego pojazdu i znikających w jego wnętrzu.

Dowódca podszedł do pulpitu i polecił Logokomowi:

— Zamknij właz, sprawdź szczelność śluz.

— Tak...

Wykonywane czynności znajdowały swoje natychmiastowe odbicie na świetlnym schemacie rakiety; wszystko przebiegało normalnie.

Kiedy Logokom zameldował o wykonaniu polecenia, Cleve odetchnął z głęboką ulgą, jakby ta prosta, wielokrotnie powtarzana czynność nosiła w sobie niebezpieczeństwo jakiejś awarii. Z ulgą, bo wraz z zamknięciem włazu zakończyła się ta nieprawdopodobna przygoda, a nikt z załogi nie poniósł najmniejszego szwanku. Całość materiałów dotyczących spotkania, wszystkie zapisy dźwiękowe i optyczne, wszystkie bezcenne dokumenty znajdowały się w kasetach.

Brakowało tylko tej jednej — rozmowy Sylwii z „szefem”. Były za to setki zbliżeń dzieł sztuki z niesamowitego muzeum oraz koronny dokument — naszyjnik.

Co to będzie za sensacja na Ziemi, kiedy wrócą i ogłoszą swoje rewelacje!

Mały dysk dotarł do swojego statku i zniknął w środku, ale właz jeszcze był otwarty i widać było koło niego krzątające się automaty. Wreszcie wszystko uspokoiło się, — a w przestrzeni pomiędzy obu statkami zapłonął ogromny, czerwony napis — Wysokiej Próżni!

Kiedy szkarłatne litery rozpląnęły się w mroku MacDonald skoczył do pulpitu i nadał Morsem — Dziękujemy!

Pokrywa włazu zaczęła powoli opuszczać się po przewodnicach. Po chwili schowały się również cztery słupy i olbrzymi statek zaczął z początku pomału, a potem coraz szybciej oddalać się od nich i zmieniać kurs. W końcu wrócił na trajektorię będącą kontynuacją tej sprzed spotkania. Widać go było na ekranie z lewej strony, z przodu, jak

staje się coraz mniejszy i mniejszy, aż zniknął zupełnie, pochłonięty wieczną nocą.

— No, moi drodzy — odezwał się Cleve — czas się sposobić do snu. Przygotowania zgodnie z instrukcją postępowania przedhibernacyjnego. Czy są jakieś pytania lub życzenia? — dodał.

— Tak, ja mam prośbę — odezwał się Ogilwu ze śmiechem.

— Żebyście nas znowu obudzili, jeśli zdarzą się podobne odwiedziny.

— Możesz spać spokojnie, Jacob — uśmiechnął się Cleve.

— To było zdarzenie z gatunku nieprawdopodobnych i jako takie z pewnością nie powtórzy się w ciągu najbliższych stu milionów lat.

— Następnym obiektem, jaki zobaczysz z bliska, będzie Saturn ze swoimi pierścieniami. Spiesz się do łóżka, abyś był wyspany na jego przywitanie, astronomie — dorzucił Brox.

Dźwięk alarmowego dzwonka sparaliżował ich na moment. Równocześnie gwałtowne przyspieszenie rzuciło ich pod ścianę. Cleve kątem oka dostrzegł na kursowym ekranie jakąś gwałtownie rosnącą tarczę, a wokół niej poświatę roju mikrometeoroidów. „Mirax” całą mocą swych fotonowych silników, uruchomionych w ułamku sekundy przez Logokom, usiłował ominąć rozległy rój, ale dowódca czuł, że to jest niemożliwe, i na dodatek ta tarcza w środku...

Na moment przestał widzieć, a gdy znów odzyskał wzrok, zobaczył jak przelatują przez rój olbrzymim tunelem wybitym przez tarczę. Wokół płonęły miliony cząstek unicestwionych w polu siłowym wyprzedzającego ich statku, który nie tak dawno pożegnali.

Silniki już nie pracowały i dzwonki alarmowe ucichły jak nożem uciał. Rój był już parę milionów kilometrów za nimi.

Olbrzymia elipsoida zeszła z ich kursu i zaczęła się oddalać, aż zniknęła w chaosie gwiazd.

Dopiero wtedy zaczęli podnosić się z podłogi.

Parę osób śmiało się histerycznie...

— Logokom do dowódcy. Zszedłem z kursu usiłując ominąć rój. Proszę o zezwolenie powrotu.

Cleve długo się namyślał, zanim dał odpowiedź.

— Zaczekaj na polecenie.

— Tak.

Spokój maszyny i odpowiedź dowódcy wprowadziły poczucie bezpieczeństwa do świadomości zaszokowanych ludzi.

— Tu nigdy nie było żadnych rojów — wykrztusił astronom. — Nic z tego nie rozumiem...

— Jakim cudem oni zdołali wrócić i zasłonić nas? — zapytał ktoś nie oczekując odpowiedzi.

Mary uwijała się pomiędzy ludźmi, pytając każdego po kolei o samopoczucie i ewentualne obrażenia. Na szczęście nikomu nic się nie stało, jeśli nie liczyć guza na czole łącznościowca. Starodawnym zwyczajem przyłożył sobie do czoła kawałek lodu z chłodziarki i nie pozwolił się tknąć, twierdząc że jego babcia mawiała, iż nie masz lepszego lekarstwa na guza nad „coś zimnego”.

Kiedy już wszyscy nieco ochłonęli po przeżytych emocjach, dowódca wrócił do przerwanej odprawy...

— No więc, na czym to myśmy stanęli?

— Na Saturnie — odpowiedział Brox.

— A, rzeczywiście. Czy ktoś ma jeszcze jakieś pytania? Jeśli nie, to dziękuję wszystkim. A tak prywatnie to wam powiem, że wróciliśmy z dalekiej podróży. Prawdopodobnie jest to zasługą profesora Nakamury — dodał.

Pierwszy wstał Dan, podszedł do dowódcy i uściskał mu mocno rękę.

— Trzymaj się Cleve, i czuwaj nad naszym snem.

— Nie martw się stary. Do zobaczenia koło Saturna.

— Cześć!

Powoli sterownia zaczęła pustoszeć; ludzie żegnali się jak przed daleką podróżą. Niektórzy mieli się nie widzieć przez ponad trzy lata, a zaraz potem będzie Ziemia i drogi ich mogą się już nigdy nie przeciąć...

Trzy lata! Trzy lata to kawał czasu, ale równocześnie to tylko jedna noc, jedna długa, nudna, kosmiczna noc, w czasie której coś takiego może się zdarzyć w statku pędzącym prawie z prędkością światła przez próżnię?

Cleve oderwał wzrok od ekranów, w które wpatrywał się od dobrych paru minut i dopiero wtedy dostrzegł Sylwię siedzącą nieruchomo w fotelu dyżurnego nawigatora.

Wstał, podszedł do niej i z uśmiechem chłopca, który właśnie ma zamiar coś zbroić, usiłował ją pocałować.

— Cleve, nie... nie tutaj.

— Ależ tu nikogo nie ma!

— A... Logokom? — szepnęła.

Miała przy tym tak zaaferowaną minę, że Cleve wybuchnął śmiechem. W końcu rzekł ze sztucznie poważną miną:

— Dyżurny nawigatorze, trzeba wrócić na kurs, bo nigdy nie zobaczymy ani Saturna, ani Ziemi.

— Cleve, może lepiej ty to zrób...

— Nie Sylwio. Twój dyżur. Pomyśl sobie, że ja śpię, albo jestem chory.

Dziewczyna wiedziała, że nic nie wskóra i drżącą ręką włączyła mikrofon.

— Dyżurny nawigator do Logokomu. Wróć na zaprogramowany kurs. Początek manewru za dwie minuty.

Wcisnęła klawisz łączności wewnętrznej i starając się nadać swemu głosowi jak naj-poważniejsze brzmienie, ogłosiła:

— Dyżurny nawigator do załogi. Za sto sekund rozpocznie się manewr powrotu na trajektorię. Wystąpią niewielkie przeciążenia. Koniec komunikatu.

Odłożyła mikrofon i niepewnie spojrzała na dowódcę.

Ten uśmiechnął się i rzekł:

— Brawo, brawo! Będzie z ciebie świetny nawigator. Manewrujesz fotonową rakieta jak kajakiem!

— Nie śmieję się ze mnie.

— Ja się wcale nie śmieję. Słowo honoru!

Cichy głos brzęczyka przerwał im rozmowę. Pod cyfrą „sześć” zapaliło się światelko wezwania.

— Szóstka to kto? — zapytała.

— Dan.

— Czegóż on może chcieć?

— Musisz tam pójść, to się dowiesz.

— A potrafisz mnie zastąpić, Cleve? — zapytała z uśmiechem.

— Spróbuję.

Sylwia pobiegła do kabiny numer sześć. Wpadła tam jak burza i zatrzymała się w progu. Dan leżał już w pojemniku hibernacyjnym, a nad nim stała Mary Brox.

— Co się stało?

— Nic, tylko on mnie zmusił, abym cię wezwała.

— O co chodzi, Dan?

— Zbliź się, to ci powiem — szepnął.

Znać było już na nim działanie preparatów przygotowawczych.

— No, mów.

— Pamiętaj — szepnął z tajemniczą miną — nie przeciągnij dyżuru, bo się włączą automaty i nas wszystkich pobudzą...

— O... ty... ty... — szukała w myślach odpowiedniego epitetu i nie mogła znaleźć.

— Ciebie to nawet na łożu śmierci będą się trzymały głupie kawały. — Pogroziła mu palcem udając oburzenie, ale Dan uśmiechnął się tylko, bo już nie słyszał jej głosu. Po chwili twarz Sylwi zaczęła się rozpląwać i oddalać, oddalać, aż zniknęła w bezmiarze czerni otaczającej go ze wszystkich stron.